EPOKA

TYGODNIK

ROK I — Warszawa, 30 października 1932 R. — NR. 5

Dola pisarza polskiego

Skandal na „koncesji“

Autonomja wyższych uczelni

Cnota szczęśliwa

Dziesięciolecie „Marszu na Rzym“

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki“

AUTORZY: MUSZKOWSKI. ROGOWICZ. SZERER. HOCHBERG. MELCER-SZTEKKEROWA. KORNACKI.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NA STRAŻY POKOJU...

W tym samym czasie, gdy w Genewie toczyły się rozmowy rozbrojeniowe, a ministrowie wygłaszali pacyfistyczne przemówienia, Europa, Azja i Ameryka przekształciły się w wielkie sztuczne obozowiska wojenne:—odbywała się próba generalna przyszłej wojny. Marynarka japońska wykonywała na Pacyfiku ćwiczenia wojenne, a flota Stanów Zjednoczonych odpierała jednocześnie wyimaginowany „atak nieprzyjaciela na wyspy Hawajskie". We Francji „wojna" toczyła się na kilku „frontach": w Szampanji odbywały się wielkie manewry jesienne z udziałem wojsk technicznych, lotnictwa i przy użyciu gazów; na południu zainscenizowano atak samolotów na Marsylję, w którego czasie ludność wielkiego miasta portowego musiała brać udział w „próbie generalnej", kryjąc się po piwnicach i specjalnych schronach. W Italji manewry, odbyte wobec króla i Mussoliniego, wykazały — jak się wyraził z zadowoleniem Mussolini, — że „żołnierze włoscy są gotowi". Wielka Brytanja, prócz dorocznych ćwiczeń morskich na morzach Północnem i Śródziemnem, zaaranżowała w Walji manewry piechoty i artylerji, które stwierdziły „doskonałe wyposażenie techniczne armji i świetne postępy motoryzacji". Niemcy zorganizowały ostentacyjne manewry Reichswehry w pobliżu polskiej granicy i aby wykazać swą zupełną „bezbronność", dopuściły do zainscenizowanego „rozbicia armji, broniącej Berlina". W Rosji Sowieckiej odbyły się na Bałtyku i nad granicą rumuńską wielkie manewry marynarki i czerwonej armji. Nawet maleńka Szwajcarja, — odwieczny kraj neutralności, — której budżet wojenny wzrósł od r. 1913 niemal wdwójnasób, zorganizowała ćwiczenia piechoty i wysokogórskiej artylerji.

OPIEKA, CZY ZBRODNIA?

Naprzekór rozwojowi nauki o dziedziczeniu „instynktów zbrodniczych" i chorób, rozwojowi, który jest w wielu wypadkach cofaniem się z dawnych pozycyj i który wykazuje, jak to pewne choroby, łącznie z występkiem, uznane za dziedziczne, dziedzicznemi nie są, — Stany Zjednoczone walczą jak w najlepsze z dziedzicznością, częstokroć nie istniejącą, a walczą okrutnem i barbarzyńskiem orężem: sterylizacją.

Zgodnie z ustawodawstwem tej nowoczesnej inkwizycji, przyjętem przez większość poszczególnych stanów w latach 1905—1925, zabiegowi kastracji podlegają: — syfilitycy, zboczeńcy seksualni, epileptycy, obłąkani, oraz „zawodowi przestępcy" znajdujący się w więzieniach, zakładach poprawczych, schroniskach i szpitalach publicznych. W jednym tylko stanie Kalifornja wykonano do dn. 1 stycznia 1929 roku — 6255 operacyj, z czego 4767 na obłąkanych obojga płci i 1488 na niedorozwiniętych umysłowo. Jeśli chodzi o inne stany, to z dniem 1 stycznia 1931 roku, ogólna liczba osób poddanych zabiegowi kastracji przekroczyła 10.000.

W związku z masową sterylizacją kryminalnych przestępców oraz chorych wenerycznie i umysłowo, „naukowo - filantropijne" instytucje prześcigają się w propagowaniu coraz to nowych, coraz mniej bolesnych sposobów i metod kastrowania. Tak więc obok promieni X, mamy „vasectomję", „tubectomję", „salpingectomję", „fallectomję" i t. d.

W ciągu ostatnich dwóch lat t. zw. „eugeniści" amerykańscy prowadzą zażartą kampanję prasowo-odczytową, mającą na celu dalsze rozszerzenie ustawodawstwa sterylizacyjnego na... głuchoniemych, ociemniałych, alkoholików, gruźlików, wszelkiego rodzaju psychopatów, przestępców kryminalnych karanych dwukrotnie i... żebraków... Zaznaczyć należy, iż pod odezwami zagorzałych zwolenników sterylizacji... bliźniego podpisują się t. zw. ludzie poważni, „uczeni" amerykańscy, a nawet „mężowie stanu". Zaznaczyć też wypada, iż mimo kilkunastu tysięcy kalek — ofiar manji kastracyjnej społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, zbrodniczość w „wolnej Ameryce" wzrasta z roku na rok i przybiera rozmiary kataklizmu...

PIĘĆ MILJONÓW NIEWOLNIKÓW

Obok niewolnictwa pracy fizycznej, obok wzmagającego się niewolnictwa sumienia, kwitnie w XX wieku chrześcijaństwa inny jeszcze rodzaj niewolnictwa, — nietylko t. zw. „handel żywym towarem", lecz dobrze znany z historji, zwalczany i niezwalczony dotychczas handel niewolnikami. Na jednem z ostatnich zgromadzeń Rady Ligi Narodów, lord Robert Cecil, znakomity ponoć ekspert w tej dziedzinie, wyraził nie przypuszczenie, lecz pewność na faktach opartą, iż na całym świecie, jak długi i szeroki kwitnie niewolnictwo i handel niewolnikami. Cyfry okrągłe, czyli t. zw. sumy globalne jakiemi operuje lord Cecil wyglądają następująco: — w Afryce istnieje *dwa miljony niewolników*, których liczba na całym świecie wynosi *pięć miljonów*. Jedynie dzięki niepokonanym trudnościom, jakie nastręcza dokładne zbadanie tych ciemnych dziedzin, można tylko w przybliżeniu podać ogólną liczbę niewolników.

Właśnie w celu dokładnego zbadania sytuacji zjechała do Liberji komisja Ligi Narodów. Już pierwsze prace tej komisji przynoszą rewelacyjne wyniki. Okazuje się, iż w „czarnej republice", będącej de facto kolonją Stanów Zjednoczonych, stoją na czele nielegalnych „towarzystw" dla handlu niewolnikami wyżsi funkcjonarjusze państwowi. Dr. A. Sotille, przedstawiciel Liberji przy Lidze Narodów starał się ostatnio na łamach prasy francuskiej uspokoić wzburzoną opinję publiczną. Z jednej strony dr. Sotille zaprzecza kategorycznie „pogłosce", z drugiej jednak strony tłumaczy z rozbrajającą naiwnością, iż cóż było robić, kiedy wyżsi funkcjonarjusze państwowi w Liberji otrzymują zaledwie 1.500 dolarów rocznej pensji, w ostatnich zaś czasach i te głodowe zarobki nie są wypłacane z powodu pustki w skarbie...

Większą jeszcze rewelację stanowi fakt, iż zapotrzebowanie na afrykańskich murzynów istnieje... w Stanach Zjednoczonych, w szeregu państw Ameryki Południowej, a nawet... Europy zachodniej...

Jeżeli czarny handel, mający w Afryce swój główny punkt zborny, odbywa się nielegalnie i do pewnego stopnia tajemniczo, to nie można tego powiedzieć o żółtym handlu na targowiskach Chin. Korespondenci chińscy prasy europejskiej i amerykańskiej ciągle się rozpisują o handlu niewolnikami, których

masowo zakupują przemysłowcy Stanów Zjednoczonych, jako najtańszą siłę roboczą. W okresie zeszłorocznej powodzi i głodu, rodzice sprzedawali jawnie i do pewnego stopnia urzędowo, gdyż na podstawie specjalnych aktów kupna, swych synów i córki za parę kilo ryżu. I znowu, podobnie jak w Afryce, siłą nabywczą jest biały człowiek...

TRAGICZNA OSOBLIWOŚĆ

Do tragicznych osobliwości bezrobocia w Polsce należy to, że zwiększa się stosunkowo szybciej ilość bezrobotnych, obarczonych rodziną, aniżeli samotnych. W r. 1930 bezrobotni samotni stanowili 46.1% ogółu pozostających bez pracy, w r. 1931 — 44.4%. Obarczeni rodzinami — 53.9 i 55.6%.

Różnica na niekorzyść pracowników obarczonych rodzinami wynika stąd, że samotni, jako mniej wymagający, a więc i mniej kosztowni, łatwiej mogą znaleść pracę, kapitał zaś w poszukiwaniu sposobów obniżenia kosztów produkcji, chętniej korzysta z usług robotnika samotnego, nieobciążającego w tym stopniu produkcji świadczeniami społecznemi, co pracownik, obarczony rodziną.

Bezrobotni, obarczeni rodzinami, w woj. centralnych stanowią 55.3% pozostających bez pracy, we wschodnich — 60.6%, w zachodnich 54.5% i w południowych — 57.9%. Przewaga bezrobocia wśród obarczonych rodzinami występuje wszędzie wyraźnie.

REFORMY W WIĘZIENNICTWIE BELGIJSKIEM

Znany działacz społeczny, dr. Louis Vervaeck, naczelny dyrektor belgijskiego Urzędu Antropologji Poprawczej zapowiada w jednym z ostatnich numerów czasopisma „*La Vie Intellectuelle*“ zasadniczą zmianę ustroju więziennictwa belgijskiego, jaka jest obecnie przedmiotem narad czynników miarodajnych.

Jednym z najważniejszych punktów przyszłej reformy, będzie oddanie więzień pod zarząd lekarzy-specjalistów. Więzienia dzielić się będą na szkoły, szpitale i pracownie. Zdaniem dr. Vervaeck'a, zarówno medycyna, jak psychologja i pedagogika współczesna osiągnęły już poziom rozwoju konieczny z punktu widzenia użyteczności w zastosowaniu na polu więziennictwa. Rzecz oczywista, iż dużo zależeć będzie od tego, czy praca lekarzy i wychowawców - naukowców zaangażowanych na okres próbny w celu zrobienia doświadczeń, da pożądane wyniki, od których zależeć będzie zwycięstwo nauki w dziedzinie więziennictwa.

„Epoka“ daje swobodny wyraz wszystkim kierunkom myśli humanitarnej.

DOLA PISARZA POLSKIEGO

Stosunek literatury i jej twórców do społeczeństwa jest z jednej strony zagadnieniem teoretycznem, rozstrzyganem i interpretowanem niezliczoną ilość razy w zależności od prądów i kierunków intelektualnych epoki, z drugiej zaś — poprostu kwestją bytu pisarzy. Pomiędzy klasycznem *odi profanum vulgus et arceo* — na które mógł sobie pozwolić z łatwością poeta, otaczany opieką Mecenasa — a faszystowską czy komunistyczną zasadą podporządkowania literatury potrzebom państwa, mieści się cała skala ustosunkowań teoretycznych pisarza do otoczenia. Przetwarza się tutaj nastawienie psychiczne, charakter twórczości, nawet forma — jedno pozostaje niezmienne: pisarz z powołania chce żyć ze swej pracy. Autorom pierwszych książek drukowanych nie wypadało brać honorarjum od wydawców, gdy równocześnie nie raziły nikogo szumne dedykacje, za które płacili potężni miłośnicy literatury. W złym było tonie sprzedawać rękopis, gdy za rzecz szczytną, lub przynajmniej zwykłą, uważane były dary, płynące z łaski pańskiej możnych tego świata.

U nas ogół nie wie o tem wcale, jak stosunkowo nową rzeczą jest zasada honorowania pracy pisarskiej. Pierwsze poważniejsze honorarjum za dzieło naukowe w Polsce otrzymał, według Estreichera Adam Jocher za swój *Obraz bibljograficzny literatury i nauk*, który wyszedł w latach 1842 — 1857, nakładem firmy Zawadzkich w Wilnie. Nie znaczy to jednak, ażeby datę tę można było uważać za przełomową. Długo jeszcze potem autorzy albo wydawali swe prace własnym nakładem (częstokroć w prenumeracie), albo odstępowali je wydawcom poprostu zadarmo, czy najwyżej za otrzymaniem pewnej liczby egzemplarzy, które wolno im było sprzedać na własny rachunek. Archiwa wielkich firm wydawniczych pełne są śladów takich tranzakcyj, które zresztą dokonywane były ku najwyższemu zadowoleniu pisarzy, rozpływających się w najgorętszych podziękowaniach. Gdy nawet płacono honorarja, to były one tak nikłe, że płodni i poczytni autorzy byli szczęśliwi, jeżeli mogli niemi pokryć swoje rachunki za wybrane od wydawcy książki. Jeszcze w początku naszego wieku tacy poeci, jak Tetmajer i Rydel, wydawali pierwsze swoje tomiki n a k ł a d e m w ł a s n y m, wdzięczni wydawcy za zamaskowanie tego faktu umieszczeniem na okładce swej firmy.

Konwencja Berneńska (1886) i założenie Międzynarodowego Związku Opieki nad dziełami literatury i sztuki spowodowały wyłom w poglądach dotychczasowych na prawo autorskie. Otoczono je więc opieką ustawodawczą, stwarzając warunki, w których mógł dopiero powstać i rozwijać się stan l i t e r a t ó w z a w o d o w y c h. Zerwano oficjalnie z zasadą, wygłaszaną dotąd otwarcie, że pisarz musi albo przymierać głodem, albo też utrzymywać się z innej pracy zawodowej. Nie przestali wprawdzie istnieć i dotąd urzędnicy kolei, referenci ministerjalni, czy nauczyciele szkolni, często nawet bardzo utalentowani, uprawiający „w wolnych chwilach" pracę literacką, — ale zawód literacki uzyskał prawo obywatelstwa. Wyłamali się najpierw najwięksi,

za nimi poszli i średni, czasami nawet bardzo mali, zwłaszcza w tych krajach o bogatej literaturze i czytelnictwie, gdzie istnieją zapotrzebowania o rozległej skali poziomów. Określenie: l i t e r a t przestało być synonimem nieróbstwa i braku zdolności do „uczciwej pracy" wogóle.

Nie jest rzeczą przypadku, że czasopismo *Le Droit d'Auteur*, wydawane przez biuro Berneńskie, zajęło się pierwsze zagadnieniami międzynarodowej statystyki literackiej. Było to wyrazem świadomego wyznaczenia literaturze miejsca w życiu społecznem narodów. Niema żadnej racji, dla której obok statystyki przyrostu ludności, czy wytwórczości przemysłowej, miałoby zabraknąć miejsca dla produkcji intelektualnej. Kto wie, czy nie jest ona nawet najważniejsza, jako źródło, z którego czerpią swe soki wszystkie inne dziedziny działalności społecznej.

Gdy wkroczono już raz na drogę stosowania metody statystycznej do badania zjawisk życia kulturalnego, nasunęły się całe szeregi zagadnień, domagających się oświetlenia. Wprawdzie już przed stu laty dokonywał Quetelet (*Physique Sociale* 1835) zestawień wieku autorów dramatycznych, ale badania te przebrzmiały bez echa i nie znalazły bezpośrednich kontynuatorów. Dopiero Röthlisberger, redaktor wymienionego czasopisma *Le Droit d'Auteur*, wznowił te poszukiwania w zastosowaniu do pisarzy szwajcarskich, w ostatnich zaś czasach pojawiły się prace Luchaire'a (*Obsérvations sur la méthode d'une statistique de la vie intellectuelle* 1923), Zahn'a (*Internationale Kulturstatistik* 1925) i in., w których podjęte zostały zagadnienia metodyczne. W 1926 r. Międzynarodowy Instytut Współpracy Umysłowej w Paryżu powołał specjalną komisję mieszaną do opracowania wzorów statystyki życia umysłowego; wyniki tych prac ogłosił L. March (*Rapport au nom de la Commission Mixte de la Statistique Intellectuelle*. Le Caire 1928). Zastosowanie tej metody dała T. Beresovski-Chestov w pracy, opartej na materiałach francuskich, p.t. *Statistique Intellectuelle de la France* (Paris 1926), w odniesieniu do szkolnictwa, bibljotek i teatrów. Obecnie dane, dotyczace życia kulturalnego, stanowią dział stały w wydawnictwach oficjalnych urzędów statystycznych wielu krajów, m. in. Polski.

Do tej dziedziny badań należy książka p.t. *Życie praca pisarza polskiego* (Warszawa 1932), opracowana na podstawie ankiety Związku Zawodowego Literatów Polskich, która stanowi pierwszą u nas próbę ujęcia zagadnień twórczości literackiej od strony ekonomiczno - społecznej. Wyniki ankiety zostały opracowane z najzupełniejszą kompetencją fachową przez p. Wł. Landaua w Instytucie Gospodarstwa Społecznego. Przedmowa. pióra prof. L. Krzywickiego, daje świetne wyjaśnienie celu i metody pracy, oraz garść bardzo interesujących wspomnień znakomitego uczonego z własnej praktyki wydawniczej.

Prof. Krzywicki podkreśla trudności, związane z ustaleniem ścisłego znaczenia terminu l i t e r a t, jakie mieli do pokonania organizatorzy ankiety. Zwrócono się do członków Związku Zawodowego Literatów, Pen-Clubu, Związku Autorów Dramatycznych, oraz Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, jak również do pisarzy niezrzeszonych, o ile można było do nich dotrzeć. Zrobiono zatem wszystko, by uzyskać materjał możliwie kompletny. Oczywistą jest rzeczą, że niepodobieństwem było stosowanie kryterjów merytorycznych, klasyfikując pisarzy zależnie od wartości literackiej ich dzieł. Zasadniczą cechą z obranego tutaj punktu widzenia jest czynnik ekonomiczny, t. j. kwestja, czy praca literacka stanowi g ł ó w n e źródło dochodu. Było to pytanie ósme ankiety. Odpowiedzi zanalizowano bardzo dokładnie w tablicach 28 — 38, uzyskując nagół wynik negatywny w tem znaczeniu, że literatów zawodowych, ludzi utrzymujących się wyłącznie lub przeważnie z pracy pisarskiej, posiadamy bardzo niewielu.

Na 700 blisko członków organizacyj literackich otrzymano 198 odpowiedzi na ankietę, tj. przeszło 28%. Mam wrażenie, że wielu z nich powstrzymało się od udziału w ankiecie w tem właśnie przekonaniu, że nie mogą zaliczać się do zawodowców, ponieważ praca literacka stanowi tylko dodatkowe źródło ich dochodów. Gdyby dali odpowiedzi, stosunek prawdziwy zawodowców do ogółu piszących byłby jeszcze mniejszy, chociaż i bez tego przedstawia się zastraszająco. Na 129 osób, które odpowiedziały na to pytanie, tylko 24 osiąga ok. 90% całkowitych swoich dochodów z pracy literackiej, 12 — przeszło 60%, pozostałe nie dociągają nawet do 30%. W cyfrach efektywnych przedstawia się to tak: „Jedna trzecia autorów, którzy podali swe dochody literackie (ogółem 134), zarabia tą drogą tylko 46 — wyraźnie: czterdzieści sześć złotych miesięcznie. Dalsze 27 pisarzy osiąga twórczością literacką przeciętnie 136 złotych miesięcznie, 7 otrzymuje w średniem 213 zł., 10 ma dochód wynoszący przeciętnie 261 zł. miesięcznie i t. d. Są to zarobki, rzecz prosta, głodowe, pozwalające jedynie na najskromniejsze utrzymanie, zwłaszcza gdy się uwzględni tę okoliczność, że 72% pisarzy musi dbać o byt swojej rodziny."

Z obfitego materjału ankiety, która obejmuje stan osobisty, położenie materjalne, stosunek literatów do wydawców, źródła ubocznych dochodów, subwencje, nagrody, ubezpieczenia, ulgi i odznaczenia, warsztat i tryb pracy, początki twórczości literackiej i jej wydajność, życzenia i marzenia, wreszcie organizacje literackie, — uwzględniłem narazie tylko jeden jej punkt. Nasuwa on niewesołe refleksje. Praca literacka wynagradzana jest tak nędznie, że przeszło 80% (według ankiety, faktycznie zaś daleko więcej) ludzi piszących nie może zarobić nią na najskromniejsze utrzymanie.

Prof. Krzywicki podkreśla słusznie szczupłość naszego rynku wydawniczego. Ale dlaczego ten rynek jest tak szczupły w 30-miljonowym kraju? Czy tak być musi? Czy czytelnictwo jest jakimś nieziemskim darem nadprzyrodzonych mocy, czy też czynnikiem kultury , podlegającym kształtowaniu, byle tylko w sposób planowy i umiejętny?

Ankieta Związku Zawodowego Literatów jest rewelacyjna podwójnie: jako pierwsze u nas zastosowanie metody statystycznej do tej dziedziny życia umysłowego, następnie zaś jako próba rzeczowego ujęcia stanu rzeczy na tym odcinku, na którym dotąd operowano mglistemi ogólnikami, jałowem narzekaniem, lub jednostronnemi inwektywami. Poznanie choroby jest pierwszym krokiem do jej wyleczenia.

J. Muszkowski

SKANDAL NA „KONCESJI"

Do przedszkola klasztoru sióstr Felicjanek w Warszawie, przy ul. Syreny 6 chodziła sześcioletnia córeczka porucznika Wiśniewskiego, Jadzia, zamieszkała w domu swego ojca, pod opieką babki (matka dziecka nie żyje). Pewnego dnia wróciła z przedszkola posiniaczona i nielitościwie pobita. Wezwany lekarz „stwierdził łańcuch sińców na ramionach dziewczynki, oraz krwawe obrzęki i zdarcia naskórka na udach". Policja spisała protokuł. Zawiadomiono inspektora szkolnego.

Jadzia opowiedziała, jak to było: „Ja chciałam być dyżurną. Dyżurna ma u nas taką śliczną kokardę. Siostra, która nas uczy, nie chciała się na to zgodzić. Zaczęłam płakać. Krzyknęła na mnie, a ja jeszcze głośniej zaczęłam płakać, bo mi strasznie żal zrobiło się, że nie będę miała kokardy. Wtedy siostra zdjęła z siebie gruby sznur, którym była opasana, potem przy pomocy innej siostry wyniosła mnie za przepierzenie i biła, aż przestałam płakać".

Ta niesforna, 6-letnia kokietka, która tak drogo opłaciła chęć noszenia przez parę godzin „ślicznej kokardy", ma w swem króciutkiem życiu inny jeszcze moment, świadczący o zuchwałem wysuwaniu się na pierwszy plan. Na szosie pod Warszawą rozhukane konie pędziły wprost na gromadkę bawiących się dzieci. Jedno z nich, 3-letnie maleństwo, wystraszone ucieczką innych, zostało na drodze.

Zginęłoby pod kopytami, gdyby Jadzia Wiśniewska nie skoczyła na szosę i nie porwała z narażeniem życia, bezradnego berbecia. Bohaterskie dziecko otrzymało dziś nagrodę z rąk zakonnicy — wychowawczyni.

Babka skatowanej dziewczynki, podczas indagacji reportera jednego z dzienników zaznaczyła, że Jadzia — jak widać, dziecko żywe i inteligentne — kaprysiła podczas godziny ciszy, *absolutnego milczenia*, „które stanowi jedną z praktyk klasztornych". Wreszcie dowiadujemy się, że winowajczyni *będzie za karę przeniesiona na prowincję.*

Nie zachęcam bynajmniej do wymierzenia wychowawczyni - sadystce takiej samej liczby odlewanych i tym samym sznurem, którym zbiła małą Jadzię — choć znam osobę wielkiej dobroci, twardo obstającą przy jedynym, jej zdaniem, radykalnym sposobie oduczenia ludzi od katowania zwierząt: nie areszt, nie grzywna, lecz przekonanie okrutnika na jego własnej skórze, że bitego boli.

Taka poglądowa lekcja zasady „nie czyń drugiemu co tobie niemiło". Choćby tym drugim było zwierzę. Tu idzie o dziecko, notabene dziecko, które już zdążyło dać dowód niezwykłej odwagi i dzielności, — i z tego właśnie względu, gdyby coś podobnego stało się np. w Paryżu, wzburzenie opinji publicznej byłoby takie, że nie chciałbym być wówczas w skórze owej „wychowawczyni" i jej zgromadzenia. U nas sama prasa już nazajutrz po wybuchu skandalu stara się złe wrażenie załagodzić, wygłupiając się w tym sensie, że przeniesienie winowajczyni na prowincję „za karę" jest „naprawieniem krzywdy Jadzi W." (?) i właściwie nie należy już tą sprawą zaprzątnąć sobie głowy. Wiadomo: jutro czekają nas ważniejsze sensacje: Kusociński — Iso Hollo, Walasiewiczówna!

W tem tuszowaniu widać już rękę w czerwonej rękawiczce, która nawet nie potrzebuje dawać znaku: Silentium... Wola jej w takich wypadkach jest zgóry wiadoma, a my jesteśmy przecie synami „córy ukochanej". Więc jesteśmy ulegli i grzeczni.

Polacy to jednak osobliwy naród: tyle ambitnych jednostek — a taki brak ambicji społecznej! Przecie patrząc na to, jak buszują po mózgach polskich w ostatnich czasach „nasi okupanci" człowiek myślący niezależnie zadaje sobie chwilami pytanie: czy żyjemy w wolnem państwie, czy w kolonji, której metropolją jest Citta del Vaticano? Czy w któremkolwiek z państw o ludności katolickiej: — we Francji, Włoszech, Hiszpanji, Belgji prymas ważyłby się dziś tak jawnie pretendować do *condominium* kościoła i państwa, jak to niedawno uczynił ks. kardynał Hlond w swym liście pasterskim p. t. „O chrześcijańskie zasady życia państwowego", pisząc, że wprawdzie „niema państwa w państwie, lecz obok suwerennego państwa o pewnym zakresie celów istnieje niezależny kośció o innych zadaniach".

Mamy w ten sposób na tym samym obszarze *dwie władze.* W praktyce wygląda to tak, że władza kościelna radaby w każdą dziedzinę życia nos wsadzić, bacząc przytem pilnie, żeby władza państwowa nie ważyła się wtrącać do dziedzin, kościołowi zagwarantowanych konkordatem.

Wytwarza się niekiedy z tej zachłanności sytuacja, podobna do tej, w jakiej do niedawna znajdowały się Chiny, zmuszone do tolerowania cudzoziemskich „koncesyj". Organizacje szkolne, wychowawcze, filantropijne, zależne od kościoła, tworzą właśnie do dziś takie koncesje cudzoziemskie w „chińskiej" Polsce. Rządzą się według swych praw, mają własne władze przełożone, własną jurysdykcję i choć formalnie podlegają ogólnym ustawom państwowym w pewnych dziedzinach działalności, np. w szkolnictwie, w rzeczywistości są niezależne od władz adminiistracyjnych danego resortu.

Skandal na koncesji Felicjanek w Warszawie ujawnił ubocznie metodę „ćwiczeń duchowych" dla... 6-letnich dzieci, w postaci *godziny absolutnego milczenia!* Czy Ministerstwo Oświaty w postaci organów kontroli przedszkoli miało pojęcie o istnieniu tego rodzaju *idjotycznych praktyk?* Chyba wystarczy odrobina oleju w głowie i trochę miłości do dzieci, żeby pojąć bezmyślne okrucieństwo takich pomysłów w stosunku do kilkuletnich bąków. Nie wiem i nie jestem ciekaw, co mają Felicjanki w głowie. Że miłość ich do dzieci ma ponure, odrażające formy, — to się okazało („godzina milczenia"). Że karą dla sadystki, nie może być wysłanie jej na prowincję, *gdzie bez kontroli może jeszcze łatwiej* oddawać się swym zwyrodniałym popędom — to jasne. Tu ją trzeba leczyć i mieć na oku.

Eksterytorjalność koncesyj obcych w Chinach jest w fazie likwidacji. Czas, żeby polskie władze świeckie wkroczyły z miotłą do koncesyj klasztornych w Polsce, zajmujących się szkolnictwem.

Niech mnisi i mniszki oddają się wszelkim praktykom swych reguł w murach klasztorów. To żywego społeczeństwa nie obchodzi. Ale wara im od dręczenia dzieci! I niech będą zmuszeni zrozumieć, że szkoła a tembardziej przedszkole nie są i nie mogą być klasztorem.

Skoro Polska nie może się zdobyć na likwidację koncesyj „cudzoziemskich".... ***Wacław Rogowicz***

3 ZŁ. GR. 15 Z POD SZUBIENICY

Stracono przed kilku dniami na dziedzińcu więzienia mokotowskiego w Warszawie człowieka bardzo nieciekawego.

Walenty Milewski, 49-letni chuderlawy pokurcz, mający już na sumieniu gwałtowną śmierć żony, gracz i pijak, zabił 22-go września ciężką kłódką swą niewybredną kochankę, poczem „zdrzemnął się" przy stole. Nazajutrz wsadził trupa do kosza, kosz wyniósł na plecach i nadał do podmiejskiej stacji Ząbki; w Ząbkach kosz sam odebrał i zaniósł w zagajnik, 28-go września aresztowano go i skierowano sprawę na drogę sądu doraźnego.

Rozprawa zaczęła się o 10.30 rano 20-go października. Żadnych wątpliwości co do czynu, żadnych okoliczności łagodzących. W tych warunkach sąd, chwycony w kleszcze zębatych przepisów o postępowaniu doraźnem, miał jeden tylko wyrok do wydania: o godz. 5 po poł. ogłosił wyrok śmierci.

Obrońcy skoczyli na Zamek wnieść do Prezydenta Rzpl. prośbę o łaskę. Po 40-u minutach oczekiwania zawiadomiono ich, że Prezydent z prawa łaski nie skorzysta. Przeto o godz. 9 wieczorem, w cztery godziny po wydaniu wyroku, zapaliły się na dziedzińcu więzienia mokotowskiego wielkie lampy elektryczne, oświetlając nowiutką, nieużywaną jeszcze szubienicę. A w kilkanaście minut później było w Polsce o jednego człowieka mniej, choć nikt właściwie nie ubył.

Fotografje Milewskiego, zamieszczone w pismach i przewód sądowy nie pozostawiają wątpliwości, że był to typ zarówno fizycznie, jak moralnie odstręczający. Gdyby nawet chcieć dyskutować nad prawem społeczeństwa do karania gardłem i nad pięknem procederu urzędowego zabijania człowieka, to— przyznać trzeba — osobnik Walenty Milewski nie nadawałby się do uwydatniania okropności tego aktu. Zostawiam też na uboczu tak dopraszającą się omówienia kwestję cwałującej sprawiedliwości — tych sądów doraźnych, które obecnie w Polsce niemal dzień po dniu uproszczonym sposobem wysyłają przestępców na szafot. Chodzi mi o co innego.

Dzienniki podały, że w tych kilku godzinach, które dzieliły wyrok od wykonania, Milewski, nie mający złudzeń co do swego losu, napisał list do syna, odsiadującego w innem więzieniu warszawskiem karę za kradzież. W liście tym był taki ustęp: „W kancelarji więzienia śledczego na Dzielnej znajduje się mojej własności trzy złote groszy 15. Kiedy wyjdziesz z więzienia i będziesz przechodził tamtędy, wstąp tam i zabierz sobie te 3 zł. 15 gr.".

Każdy z nas myślał nieraz ze zgrozą, co dzieje się w mózgu człowieka, który wie, że za kilka chwil zginie, ze związanemi rękami, gwałtowną haniebną śmiercią. Jakież to musi być piekło strachu, żalu i rozpaczy! Tymczasem cóż dzieje się w mizernej duszy Walentego Milewskiego, który czeka, by za kilka kwadransów zachłysnąć się straszliwie?

...Jest w kancelarji więziennej jego własności 3 zł. groszy 15. To jest *jego* i to nie powinno zginąć. Niech syn to odbierze — gdy sam wyjdzie z kryminału...

Możnaby, rzecz prosta, na temat tych 3 zł. i 15 gr., zaprzątających myśli człowieka pod szubienicą, bardzo potoczyście mówić o zatwardziałej psychice zbrodniarza, o stępieniu wyobraźni, instynktów moralnych i t. d., i t. d. Że więc niema tu co się wysmętniać. Ale cała rzecz w tem, że tu niema żadnej zatwardziałości, żadnego stępienia, lecz, że *poprostu* dla Walentego Milewskiego 3 zł. groszy 15 jego własności, *to była istotnie ważna rzecz.* To było to *wszystko, czem ten człowiek, mający zawisnąć w oczach swoich jeszcze znaczył.* I cała upiorność sytuacji polega właśnie na tem, że rzeczą, około której warto krążyć *ostatnim myślom* człowieka, mającego stryczek na szyi, może być 3 zł. groszy 15. I że za kilka miesięcy syn - złodziej przyjdzie do kancelarji więziennej i wyciągnie rękę po 3 zł. gr. 15 ojca-szubienicznika.

Nie od wczoraj żyję i nie trzeba mi było czekać na powieszenie Walentego Milewskiego, by rozumieć i odczuwać t. zw. kwestję społeczną. Ale trudno mi sobie poradzić z tem rozporządzeniem ostatniej woli najnowszego klijenta warszawskiego sądu doraźnego. Co myśleć o człowieku, który, idąc na stracenie, pisze do syna: jest w kancelarji więzienia mojej własności 3 zł. gr. 15 — „kiedy będziesz przechodził tamtędy, wstąp tam i zabierz sobie te pieniądze"? Co może być wspólnego pomiędzy całym, solennym, w powagę największego dostojeństwa — czynienia Sprawiedliwości! — spowitym aparatem sądzenia, a Walentym Milewskim z jego pod szubienicą staraniem synowi przekazaną masą spadkową 3 zł. groszy 15? Gdzie tu jest jakaś współmierność?

Mąci mi się to wszystko: opryszek z pod ciemnej gwiazdy, sąd w kilka godzin likwidujący jego życie, lampy elektryczne na dziedzińcu więzienia mokotowskiego i — te 3 złote groszy 15 z pod szubienicy.

Dr. Mieczysław Szerer

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

AUTONOMJA WYŻSZYCH UCZELNI

Sprawa autonomji naszych wyższych uczelni jest obecnie przedmiotem gorącej dyskusji. Jak w każdej kwestji, w której może odgrywać rolę moment polityczny, tak i w tej argument rzeczowy ginie w rozgwarze demagogji, sąd objektywny zagłuszany jest przez chóry partyjne.

A sprawa sama godna jest poważnego namysłu. Chodzi o racjonalną, najbardziej celową organizacją pracy naukowej na wyższych uczelniach, o ustalenie, jakie ramy autonomji — której zasady nikt nie kwestjonuje — najlepiej tej pracy odpowiadają. Zagadnienie to zostało w polemikach dziennikarskich spaczone i zamącone przez sporo nieścisłości, podawanych nieraz świadomie. Organy Obozu Wielkiej Polski uderzyły na alarm. Źródło niepokoju tego stronnictwa jest całkiem wyraźne: chodzi o bezkarność w swawoli politycznej pod maską autonomji.

Pragnąc podać czytelnikom „Epoki" opinję istotnie autorytatywną, zwróciliśmy się do jednego z wybitnych profesorów Politechniki Warszawskiej, znakomitego fizyka, d-ra Mieczysława Wolfkego, który zna dokładnie ustrój wyższych uczelni zachodnio-europejskich. Doświadczenie prof. Wolfkego, który przez długi szereg lat wykładał w uczelniach o różnych ustrojach prawno-gospodarczych, czyni jego pogląd najbardziej ważkim i godnym uwagi.

Prof. Wolfke na samym wstępie rozmowy zaznacza:

— Przeważnie w dyskusjach nad zagadnieniem autonomji szkół wyższych nie rozróżnia się pomiędzy wolnością nauczania profesorów i docentów wyższych uczelni, a niezależnością gospodarczą-prawną samych uczelni. Wolność nauczania zarówno co do wyboru materjału, jak i co do prawa indywidualnego oświetlania danej dziedziny nauki jest zagwarantowana we wszystkich uczelniach zachodniej Europy i *u nas też nikt nie ma zamiaru krępowania jej,* o ile nie wkracza na tory antypaństwowe. Autonomja gospodarczo-prawna samej uczelni nie jest zjawiskiem tak powszechnem w Europie, jak to często przedstawiają ci, którzy są jej zwolennikami. Tę formę autonomji posiadają uczelnie niemieckie i uczelnie tych krajów, które się na Niemczech wzorowały, jak między innemi i Polska, gdy tymczasem ani wyższe uczelnie francuskie, ani szwajcarskie autonomji w tem znaczeniu nie posiadają.

— Którą z tych form uważa Pan profesor za lepszą?

— Zależy to nie od praw i statutów, lecz jedynie od ludzi, którzy prawa te stosują w życiu. W każdym razie można powiedzieć, że dla dobra nauczania, a zwłaszcza twórczej pracy naukowej profesorów, odciążenie ich od spraw administracyjno - gospodarczych jest bardziej wskazane.

— Czy autonomja wyższych uczelni powinna gwarantować jakieś specjalne przywileje młodzieży akademickiej?

— Co się tyczy zagadnienia opieki nad młodzieżą, jaką ma roztaczać uczelnia; to powinna ona, mojem zdaniem, rozciągać się jedynie na te sfery życia młodzieży, które są związane bezpośrednio z głównym celem uczelni, t. j. nauczaniem. We wszystkich innych dziedzinach życia, młodzież powinna podlegać, jak każdy obywatel, ustawom ogólno-państwowym.

ODGŁOSY

TEŻ ZABAWA...

Jest w Warszawie lokal, w którym artyści-plastycy urządzają co kilka dni kabaretową zabawę. Miała to być próba odrodzenia dobrej tradycji kabaretu literackiego. Piosenka, deklamacja, muzyka. Sentyment i dowcip. Liryka i satyra. Tak jak dawniej. I udział gości w tej zabawie, przypadkowe popisy artystów, którzy znajdą się wśród publiczności.

Lokal ma powodzenie. Ciągnie tu wszystko, co chce się otrzeć o „brać artystyczną", zażyć „beztroskiej swobody", odetchnąć „artystyczną atmosferą". Stary, tępy snobizm jest dla tego lokalu pozycją niezawodną.

No więc zabawa. I różne pomysły. Naprzykład taki: sprowadzono jakąś autentyczną śpiewaczkę podwórzową. Biedna, sterana, wyraźnie przez nędzę zmaltretowana kobiecina. Atrakcyjny folklor. Cieniutkim, cichym głosem śpiewa to żałosne biedactwo piosenki romantyczne. I tekst przesłodzony i wykonanie mizerne wypadają — w tem środowisku — śmiesznie. Zwłaszcza te zwroty najbardziej tkliwe, sentymentalne. Ale żeby było jeszcze zabawniej, do tej nieszczęśliwej nędzarki przystawiono jakąś panią dobrze utuczoną, która śpiewa razem z nią. Tak samo „wzruszająco". Lecz mimiką daje znać publiczności, że przecież rozumie „komizm" sytuacji, że się tym tekstem nie przejmuje, że ją to świetnie bawi. Taki duet: podwórzowa śpiewaczka i elegancka pani. Sala bawi się doskonale, bije brawa frenetyczne. Naiwna, ciemna kobiecina bierze to za dobrą monetę, kłania się, dziękuje, co jeszcze wzmaga wesołość na sali.

Było to widowisko obrzydliwe.

J. W.

CYRANO DE BERGERAC W DOBIE KRYZYSU

Przedstawienie świetnej bądź co bądź komedji Rostand'a w Teatrze Polskim jest jedną z tak poszukiwanych obecnie oaz na pustyni udręczeń kryzysowych. Bogactwo dekoracyj i strojów daje widzom poczucie zamożności, pozwalając im zapomnieć o tem, że własne ich graty są zajęte przez komornika i że nie mają za co sprawić sobie i swoim najbliższym najpotrzebniejszych łachów na nadchodzący (na szczęście powoli w tym roku) sezon zimowy. Początek czwartego aktu pod Arras, gdzie bohater tak wspaniale zagaduje głód, skręcający kiszki jego towarzyszów broni, byłby doskonałą lekcją dla wielkich zastępów zredukowanych i bezrobotnych, gdyby tylko... mogli chodzić do teatru. Słowem — czyn nietylko artystyczny, ale i społeczny.

A jednak jest w tem przedstawieniu coś niepokojącego. Niejeden widz ze starszego pokolenia zachował w pamięci ustępy wykwintnych i łatwych pozornie wierszy Rostand'a, oddanych tak wiernie w znakomitym przekładzie polskim. I nie bez pewnego wzruszenia oczekiwał na przedstawieniu powtórzenia tych ulubionych ustępów. Aliści czekała go tutaj gorzka niespodzianka: nie usłyszał ich wcale. Aktorzy (zwłaszcza mężczyźni) grają zupełnie dobrze, o ile chodzi o kreację ról, o gestykulację i mimikę, o wygląd zewnętrzny (z wyjątkiem Krystja-

na, bo istotnie trudno uwierzyć w miłość wykwintnisi do człowieka o tak cienkich łydkach, jako że damy tego typu znają się na walorach męskich), ale — powiedzmy otwarcie—nie mają pojęcia o tem, jak należy mówić wiersze. Ballada pojedynkowa ginie zupełnie śród szczęku broni i wyczynów fechtunkowych, które z pewnością zdobyłyby dla Polski nowy wawrzyn olimpijski, gdyby je pokazano na odpowiednim terenie. Przedstawienie kadetów przez Bergeraca jest o wiele zanadto hałaśliwe, nawet jak na gaskoński temperament. Widowisko wspaniałe — ale biedna pani Poezja, wypędzona z teatru, siedzi sobie pode drzwiami, popłakując z cicha i szepcąc przez łzy: „Czyżby znowu kryzys — tym razem sztuki aktorskiej?..."

B. I. B.

DZIESIĘCIOLECIE „MARSZU NA RZYM"

Czy to była rewolucja?

Znamy rewolucje na modłę francuską: barykady, wojna domowa, zdobycie Bastylji. Rewolucje bez przelewu krwi — to przewrót, coup d'état. Ale faszyści ze wspomnieniem marszu na Rzym łączą pojęcie rewolucji; na myśli mają przemiany, dokonane w duszy włoskiego obywatela przez rządy Mussoliniego.

Łatwy sukces czarnych koszul w zdobyciu władzy był niespodzianką nawet dla organizatorów marszu na Rzym. 26 października 1922 r. Mussolini powziął w Neapolu decyzję ogłoszenia „mobilizacji faszystów". Konserwatyści wówczas dążyli do utworzenia zachowawczego gabinetu na czele z Salandrą. Mussoliniego starzy politycy nie brali na serjo: pamiętali go jeszcze, jako redaktora „Avanti". Poza ich plecami wódz faszystów pertraktował z Giolittim i demokratą Nittim. Żądał tylko kilku tek dla swego stronnictwa, rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. A więc na dwa dni przed „rewolucją" nie myślał jeszcze o pełni władzy i o dyktaturze!

Z Neapolu Mussolini wyjechał do Medjolanu. Znów wszystko przemawia za tem, że nie zamierzał zdobywać władzy; nie zatrzymał się bowiem ani w Rzymie, dokąd dążyły czarne koszule, ani w głównym sztabie faszystów — Perugii. Czy to młodzieńcze zaufanie do szerokich mas proletarjatu pędziło go do Medjolanu, czy też — jak utrzymują włoscy antyfaszyści— pragnął być bliżej szwajcarskiej granicy na wypadek nieudanego wyniku marszu na Rzym — dość, że w decydującej chwili Mussoliniego nie było na czele czarnych koszul. Jeszcze wieczorem 28 października, gdy faszyści opanowali stolicę i główne punktu komunikacyjne, Duce pertraktował z Salandrą przez telefon z Medjolanu, a nieświadomość sytuacji wykazał tem, że nadal obstawał, by faszystom przyznano szereg tek w nowym gabinecie. I tylko jeden z najzapaleńszych, Finzi, wydarł mu słuchawkę z rąk, aby oświadczyć Salandrze, że faszyści żądają dla siebie pełni władzy.

***

Czy była to rewolucja?

Po dziesięciu latach fakty pokryły się mchem legendy. Objektywne głosy twierdzą, że wystarczyłoby w owych dniach październikowych jedno energiczne posunięcie władz, a czarne koszule rozpierzchłyby się. Niepewność, jaką przejawiał wówczas sam wódz, panowała i w szeregach faszystów. Na Rzym maszerowały cztery grupy czarnych koszul: od strony Pizy, przez Santa Marinella i Civitavecchia; z Umbrji przez Orte; z Abruzzów przez Tivoli i wreszcie „powstańcy południowi" z Neapolu. Oddziały szły bezładnie; część jechała koleją, przeważnie „na gapę", inni autobusami, większość maszerowała pieszo. Uzbrojenia nie mieli prawie żadnego. Pomiędzy dowództwem poszczególnych grup kontakt był bardzo słaby. Sztab główny w Perugji z gazet dowiadywał się o posuwaniu się czarnych koszul. Kilka tysięcy regularnego żołnierza z łatwością odparłyby marsz na Rzym, gdyby... pragnęły tego wyższe władze wojskowe.

Tajemnicą powodzenia faszystów było sprzysiężenie generałów. Na czele sztabu faszystowskiego stał dymisjonowany generał De Bono. Oddziałom czarnych koszul przewodzili również dymisjonowani generałowie Fara, Zamboni, Ceccherini, Tiby i Maggiotto. Generałowie w służbie czynnej działali w porozumieniu ze swymi towarzyszami broni. Gdy faszyści we Florencji opanowywali pocztę, telegraf i dworzec kolejowy, dowódca tamtejszego garnizonu, generał Gonzaga, rozkazał żołnierzom pozostawać przez trzy dni w koszarach; toż samo miało miejsce w Sienie, Piacenzy, Cremonie, Vicenzy, Aleksandrji, Bolonji, Weronie i Mantui. Dowódca garnizonu w Padwie przebywał na urlopie. Obawiając się oporu ze strony swego „niepewnego" zastępcy, dowódca, generał Boriani, wrócił w nocy 27 października z urlopu i... zamknął żołnierzy w koszarach.

Prowincja była zdobyta.

***

W stolicy tymczasem gabinet Luigiego Facty dogorywał. Król powrócił z letniej rezydencji w San Rossove pod Pizą 27 października. Po długich, całonocnych debatach rząd zdecydował się ogłosić stan wyjątkowy. Przedłożono królowi do podpisu dekret, który miał zlikwidować atak czarnych koszul. Wśród faszystów zawrzało. Wszyscy byli jednak wierni koronie i nie mieli odwagi wystąpić otwarcie przeciw królowi. 28 października zrana faszystów rzymskch ogarnęła panika. Do południa ani jednej czarnej koszuli nie było na mieście, a obecny minister Acerbo, naonczas członek parlamentu, zjawił się na Montecitorio i prosił demokratycznych deputowanych, aby go ukryli w gmachu Izby. Zbliżony do króla admirał Thaon de Revel „posłusznie radził" ustąpić faszystom. Król czekał na byłego naczelnego wodza z czasów wojny europejskiej — generała Diaza. Przybył on 28-go zrana, pełen entuzjazmu dla czarnych koszul. Los demokratycznej Italji był przesądzony, gdy jeszcze życzliwe głosy szepnęły królowi, że faszyści mają w zanadrzu kandydata na „swego" króla — księcia d'Aosta, który

gotów jest objąć tron, jeśli Wiktor Emanuel III bronić będzie parlamentaryzmu. Ostatecznie, król nie miał powodu przenosić Facty, lub Nittiego nad Salandrę; o Mussolinim — jako o szefie rządu — nikt jeszcze nie myślał.

Stała się więc rzecz nieprzewidziana. W ciągu 22-ch lat swego panowania król stale podpisywał te akty, które mu przedkładał każdoczesny premjer. Nagle, po raz pierwszy w życiu, król założył swe „veto" i odmówił Fakcie podpisania dekretu o stanie wyjątkowym. Konstytucjonalista Facta wyciągnął stąd szablonowy wniosek: zgłosił dymisję gabinetu. Wypłynęło wówczas nazwisko Salandry. Ale wypadki były silniejsze od niewątpliwie dobrej woli króla Wiktora Emanuela: do Rzymu wkraczały już czarne koszule. Nazajutrz już i Salandra był zbyt „demokratyczny". Mężem opatrznościowym stał się Mussolini.

∴

Nie wiadomo, jakby ułożyły się dzieje współczesnej Italji, gdyby skromny nauczyciel ludowy z Forli, syn kowala, proletarjusz i socjalista, Benito Mussolini, uzyskał stanowisko dyrektora szkoły powszechnej, o które usilnie się ubiegał. Ale względy formalne stanęły temu na przeszkodzie i ambitny nauczyciel powędrował w świat z goryczą w sercu. Rewolucyjność go rozsadzała: jako skrajny radykał, musiał opuścić nawet na pewien czas Włochy i ukrywać się przed policją w Szwajcarji. W partji socjalistycznej Mussolini zajmował miejsce na skranej lewicy. Jako redaktor naczelnego organu partji, nadawał rewolucyjny kierunek włoskiemu socjalizmowi. Gdy wojna wybuchła, temperament mu podpowiedział, że należy wziąć udział w walce. Po powrocie z frontu ujrzał Italję podzieloną na dwa obozy: pracujących, którzy zdobywali 8-godzinny dzień pracy, lepsze warunki bytu, zdobywali władzę w samorządach i parlamencie, opanowali nawet fabryki prywatne — byli to socjaliści i komuniści. Drugi obóz, nader liczny, stanowili bezrobotni, zdemobilizowani żołnierze. Przelewali krew na polu bitwy, stracili swe miejsca przy pługu i warsztacie. Mussolini szybko zorganizował nową armję głodnych i bezrobotnych — fascio, — przyciągając do swego obozu całe rzesze zdemobilizowanych oficerów i generałów. Tak powstała armja czarnych koszul.

Leo Hochberg

CNOTA SZCZĘŚLIWA

Niepedagogiczna właściwość myśli religijnej najjaskrawiej obrazuje się w tem, że za cnotę ginie się w amfiteatrze pod kłami lwów, i że to właśnie jest w porządku, jest słuszne i normalne. Normalność tego zjawiska jest czemś tak przytłaczającem, że w znaczeniu potocznem (a więc językiem olbrzymiej większości ludzi), cnota stała się równoznaczna z niedołęstwem, przyjemności człowieka cnotliwego stały się ascetyzmem.

Wspaniała książka Russela „O wychowaniu" przeciwstawia się tego rodzaju pojęciom w sposób niezawodny. Prosta cnotliwość jest dla niego sposobem osiągnięcia szczęścia dotykalnego i możliwego, miłości ludzkiej, spokoju lub niepokoju, rozkosznej twórczości i wogóle tego wszystkiego, czego sobie może życzyć bijące serce ludzkie. Prostota, odważna czystość i jasność tych formuł każą wspominać Russela, wielkiego filozofa, którego matematyczne wzory zrewolucjonizowały współczesną naukę logiki tak, jak ona się konstruowała w dwudziestoletnich kiedyś naszych umysłach wykładami prof. Łukasiewicza na uniwersytecie warszawskim.

Dużo już teraz wiemy o Bertrandzie Russellu, bo jest on jednym z konstruktorów przyszłego życia na ziemi. Oprócz właściwości jego myśli, znamy jego życie, wiemy, że jest człowiekiem lat około sześćdziesięciu, że ma żonę, z którą wspólnie założył szkołę dla najmniejszych dzieci od lat trzech, że sam ma dwoje maleńkich dzieci, które są w dużej mierze materjałem obserwacyjnym dla dzieła o wychowaniu. Wiemy nawet, że kiedy małżonka posprzeczała się z jedną nauczycielek o metody wychowawcze, mistrz, żeby nie być zmuszonym do zajęcia stanowiska, był „flying into disease", poprostu zachorował, poprostu dostał... kokluszu i w ten sposób uniknął pasjonującej dyskusji, w której musiałby komuś przyznać rację.

O książce „Małżeństwo i moralność" słyszałam, że za mało jest rewolucyjną, że nie daje ostatecznych rozwiązań. W stosunku do nowoczesnych teoryj, dają się u najinteligentniejszych nawet czytelników zauważyć dwie smutne niewłaściwości: albo książka w założeniach swoich rewolucyjna jest potępiana za to, że nie daje dogmatów, albo też, że nie walczy o cele ostateczne, tylko jakgdyby o pierwsze, o najbliższe. Pewna garstka świadomych i mądrych ludzi, dla których myśl autora jest całkiem jasna, niezadowolona jest z tego, że autor (w ich rozumieniu), idzie na kompromisy, że za mało jest twardy, że jakgdyby rozwiązuje problematy w myśl popularnego, niemieckiego przysłowia „das Leben ist nicht so oder so, das Leben ist so und so". Ci zaawansowani myślowo, ale zbyt małoorjentujący się w życiu współczesnem inteligenci, (a czasem ludzie, którym życie współczesne, wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności za mało cięży), nie zdają sobie sprawy z tego, że gdyby tylko dziesiąta część idei społecznych autora, którego uważają za połowicznego, jak w danym wypadku Russella, była urzeczywistniona w obyczajach, czy prawodawstwie — oblicze życia wspólnego byłoby zmienione do niepoznania. Nie zdają sobie zresztą sprawy z tego, że są zaledwie garstką, której zaletą jest aktywność w przyjmowaniu idei, ale pasywność w ich aplikoniu. Drugim, a więc tym, którzy także chcą wszystkiego odrazu, ale w wymiarach praktyczności, odpo-

wiada sam Russell w swojem „Wychowaniu": „Ludzie czytają utwory literatury klasycznej, nie starając się wcale zobaczyć, co one właściwie znaczą w zastosowaniu do życia Jana lub Piotra. Szczególnie łatwo dzieje się tak z każdą utopją, ponieważ nie wskazuje się nam żadnej drogi, któraby prowadziła do niej z naszego ustroju społecznego. W tych sprawach szczególnie cenna jest zdolność wydawania trafnego sądu, co do najbliższego kroku".

Te najbliższe właśnie kroki dla osiągnięcia pokoju powszechnego, sprawiedliwości i szczęścia są przedmiotem książki Russella. Nie sposób tu przytaczać jego metod, zadziwiających rozwiązań, zawsze zastanawiających orzeczeń. Mogą one stanowić szeroki materjał do dyskusji, która oczywiście niezawsze wypadłaby ściśle według myśli autora. Optymistyczne poglądy Russella wydają mi się jednak specjalnie cenne w zaaplikowaniu na polskim gruncie, gdzie najgorsi nie myślą wcale, a najlepsi myślą smutnie. Uderzyło mnie to szczególnie przy niektórych pasażach książki, które są jakgdyby bezpośrednią odpowiedzią na azjatycko-polskie „judymowanie", albo „przepióreczkowanie". Mówi naprzykład Russell tak: „Nie chcę... powiedzieć, że ludzie zamożni nie powinni korzystać z tych okazyj, które w świecie dzisiejszym są dla wielu zamknięte: byłoby to poświęcaniem cywilizacji dla sprawiedliwości. I dalej: „Nikt nie powinien skazywać swych dzieci na korzystanie z urządzeń powszechnych, jeżeli są złe i jeśli potrafi i ma możność zapewnienia im czegoś lepszego". Rozkoszne uczucie: wszystkie przedmioty stoją na swojem miejscu, nic się nie chwieje, jak na tonącym okręcie. Niema histerycznego przewartościowywania jednych poglądów na korzyść drugich, każda wartość ma miejsce, na jakie sobie zasłużyła. Z kart książki „O wychowaniu" przemawia trzeźwy duch anglo-saski, ten sam, który kazał Dickensowi, po jego tournée po Ameryce, kłócić się do upadłego o honorarja i tytuły, z równym patosem i poczuciem sprawiedliwości, *jakby to nie o niego chodziło.*

Ponieważ moje sprawozdanie dotyczy raczej strony ogólnoludzkiej, a nie fachowo-pedagogicznej dzieła, pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na literackie właściwości książki Russella. Budowa jej nie jest klasyczna, jest raczej tem, co Goethe nazywa „swobodnem igraniem" pośród form świata. Każdy jednak, kto miał coś wspólnego z literaturą, doświadczył zapewne znudzenia zbyt czystą konstrukcją, którą też i Russell poświęcił swobodnej grze umysłu. Nic na tem jednak nie traci stalowe wiązanie jego systemu, a cnoty jego umysłu zyskują jeszcze na wyrazistości przez tę niedbałość. Za to, kiedy mówi: „Jest rzeczą słuszną, by dziecko nauczyło się nie przerywać, kiedy matka liczy bieliznę, nie krzyczeć, kiedy ojciec jest zajęty; musi ono zrozumieć, że inni ludzie przywiązują wagę do własnych dążeń, jakkolwiek byłyby dziwaczne" — nazwanie dziwacznem dążenie do przeliczenia bielizny ma bardzo specjalny smaczek i subtelnie nas rozwesela, chociaż nie możemy nie zauważyć, że matka licząca bieliznę, jest zajęta tak, jak i ojciec, którego zajęcie nie zostało jednak bliżej określone, co nas, jako logiczna konstrukcja zdania, nie zadowala.

Jeżeli teraz powiem, że założeniem pedagogicznem Russella jest, że wychowanie moralne dziecka powinno wpajać przyzwyczajenia i musi być zakończone w szóstym roku życia, to sądzę, że teza taka musi zaciekawić wszystkich rodziców, dla których (a nie dla nauczycieli) pisał Russell swoją książkę. Trzeba teraz, żeby każdy osobiście stwierdził, jak on to sobie wyobraża.

Bertrand Russell wierzy, że wychowanie formuje, a nawet zmienia ludzką naturę. Ta wiara we wszechmoc człowieka raduje i podnosi na duchu, a świat, którego utrapień doświadczamy, staje się tylko tem, co trzeba wewnątrz siebie przemienić. Płynność, zmienność, giętkość zasad, układających się, jak mięśnie na kośćcu, na dążeniu stałem i niezmiennem do pokoju, szczęścia i sprawiedliwości, stanowią most do całej współczesnej nauki, której Betrand Russell jest jednym z najwspanialszych przedstawicieli. Wszakże czytając tę książkę nie mogę się oprzeć myśli, że jest ona dyskusją z bladym, głodnym i zawszonym remarkowskim żołnierzem, żeby ze swoich lejów, pełnych błota, wyrwanego przez szrapnele, nie mógł już więcej stygnącemi ustami narzekać, że na zachodzie niema nic nowego. Ta łagodna, małym dzieciom poświęcona książka, to „wojna wojnie" w swoich najwznioślejszych przejawach.

Wanda Melcer Sztekkerowa

TEMPO — TEMPO

Hasło dzisiejszej epoki.

Panuje nawet w dziedzinie... wymiaru sprawiedliwości.

Panuje — czy buszuje?

Sąd grodzki. Brudna obskurna izba, do której wchodzi się przez ciemne, zaplute schody, z podwórza. Przy wejściu na klatkę schodową, zamiast choćby takiego znaku, jak na „trafice" — zasmolony kawałek kartonu, gdzie samorodnemi kulasami „stoi": Sąd Grodzki, Oddział Nr... piętro N.N.

Sala posiedzeń. Jeżeli tak się umówimy, możemy to nazwać salą. Trudno: budżet 30-miljonowego państwa widocznie nie pozwala na instalowanie sądów w lokalach choćby takich, jakie mają urzędy pocztowe. Wprawdzie to stolica — ale tu przecie cudzoziemiec nie zajedzie.

Mniejsza o to. Temida nie nosi jedwabnych pończoch, ani nie używa szminek. Ma zawiązane oczy, więc nie widzi, gdzie jej każą urzędować. Zresztą, w tym przybytku klijentela jest naogół obskurna — niema powodu robić jej złudzeń, że jest, dajmy na to, w kancelarji parafjalnej.

Przed barjerą publiczność, za barjerą — Sąd. Przed stołem sędziowskim dwa pulpity. Po prawicy (sędziowskiej) dla powoda, respective oskarżyciela — po lewicy dla pozwanego, resp. oskarżonego. O tem poucza interesowanych i słuchaczów rozprawy pluskiewkami przymocowany do desek pulpitu napis, równie wdzięcznemi kulasami wyczyniony, jak „takowy" na ścianie przy wejściu na schody przybytku.

Godzina jedenasta. Wkracza sędzia. Zasiada i mężnie spogląda — przez sekundę — na stertę akt. Potem na zegar. Potem coś mówi do protokulanta. Na ławce z boku siedzą przeważnie młode adwokaciki. Ten i ów zwraca się do sędziego, żeby jego sprawę puścił wcześniej.

Spraw do osądzenia coś trzydzieści. Przeważnie mieszkaniowe. Idzie to piorunem. Sędzia jest zawalony robotą, musi odwalić jaknajwięcej „kawałków"

na posiedzeniu. Szybko dyktuje wnioski i decyzje automatowi od protokułu. W ciągu 20 minut poszły trzy sprawy. Adwokaci stron stają przy pulpitach żwawo, gadają żwawo i żwawo zamykają teczki, wynosząc się z sali, spiesząc do innego sądu.

Robota kipi. Tempo... tempo!

Aż tu nagle obstrukcja. Przy pulpicie zamiast adwokata staje sama pozwana, stara żydówka. Ryfka S. pozwana jest przez właściciela domu o zaleganie z komornem za sklepik. Winien jest jeszcze coś mąż, który umarł dwa lata temu. „Ja tego zapłacić nie mogę" — powtarza.

Sędzia. A któż to zapłaci? Nieboszczyk?

Ryfka (milczy).

Sędzia. No, więc, jak? Uznaje (bezosobowo) komorne, którego obecnie żąda gospodarz?

Ryfka. Tyle nie mogę. Teraz tyle nie utarguję. Niech pan sędzia sam wyznaczy, ile ma być uczciwie. Niech pan będzie taki łaskaw.

Sędzia. Więc chce, żeby zarządzić wizję lokalną? W takim razie musi zaraz wpłacić czterdzieści złotych zaliczki na eksperta. Zapłaci?

Ryfka nie zapłaci, bo nie wie za co, bo widać z jej „oszołomionej" miny, że nie rozumie trzech słów: „wizja", „lokalna" i „ekspert". Nie śmie pytać, a pan sędzia nie wytłomaczył jej znaczenia trzech niepojętych dla niej terminów prawniczych.

Sędzia. No, więc? Chce wizji, czy nie?

Ryfka (błagalnie). Ja nic nie chcę, proszę pana, ja się oddaję zupełnie na to, co pan sędzia postanowi.

Na sali śmiechy.

Pan sędzia mówi do pozwanej: Może już iść. Wyrok będzie wydany". Szybko bierze do ręki nowy plik w siwej okładce i ogłasza nową sprawę.

Sprawiedliwość musi być wymierzona szybko.

Tempo... tempo!

Silex

DWOJAKIE ŹRÓDŁO MORALNOŚCI I RELIGJI*)

Epoka, w której żyjemy, wydaje nam się zazwyczaj przesyconą miazmatami złowonnymi, pyłem, utrudniającym nam swobodę oddechu i jasność spojrzenia; to też w stosunku do niej przeważa pesymizm. Zapominamy, że jest to tylko powierzchowna skorupa, wytworzona walką o byt codzienny, jarmarcznem pobrzękiwaniem reklamy, zagłuszającem to, co się dzieje w głębszych pokładach współczesności; zapominamy, że każda epoka wnosi coś cennego, czego ilościowy wykładnik jedynie jest mniej lub bardziej bogaty. Walory twórcze winniśmy badać troskliwie, żeby należycie ocenić istotny kapitał duchowy pokolenia. Kapitał ten tkwi przedewszystkiem w pracy współczesnych myślicieli.

Jednym z tych, którzy wywierają wpływ znaczny na dzisiejszą elitę intelektualną, jest Henryk Bergson. Pełen entuzjazmu twórczego, znający przytem życie i biorący pod uwagę ostatnie zdobycze wiedzy, — jest skwapliwie słuchany przez najczulsze, najinteligentniejsze i najkapryśniejsze audytorjum świata, — przez Paryż.

Prorok wśród kpiarzy, filozof-mistyk śród sceptyków... Najnowsza jego książka jest konsekwentnym ciągiem jego filozofji, opartej o twórczy ewolucjonizm, o intuicję w teorji poznania, o poryw życiowy w biologji i socjologji, o wczucie się w mistykę w metafizyce, o wgląd w siebie w metodzie psychologicznej. Cóż w niej znajdujemy?

Wzajemnie wspierające się przyzwyczajenia przeistaczają się w „obowiązek moralny". *Ja społeczne* jest ewolucyjnem przedłużeniem *ja indywidualnego.* Każdy przejaw ducha, każdy czyn nosi na sobie piętno współżycia gromadnego. Myśl i język wyrosły na niem, posłuszeństwo obowiązkowi jest oporem względem własnej woli. Ale opór oporom indywidualnym uprzytamniany jako obowiązek, jest wyjątkiem a nie regułą. Z reguły nie uświadamiamy sobie naszych społecznych odruchów, jak nie czujemy zdrowych organów. U podstaw życia zwierząt instynkt i inteligencja przenikają się wzajemnie, by u szczytu rozdwoić się na instynkt u społecznie żyjących owadów i inteligencję u człowieka. Przyzwyczajenia naśladują instynkt, a inteligencja stanowi o wolnym wyborze czynu.

Oparci o wytworzoną sieć przyzwyczajeń, uzależniamy się wzajemnie tysiącznemi więzami, stanowiąc społeczność zamkniętą, która w stosunku do ogółu ludzkości jest tak odmienną, jak skończone w stosunku do nieskończonego. Każda społeczność przeciwstawia się zawsze innej; to też ku ludzkości wyjść można z zamkniętego koła bądź drogą wysiłku religijnego przez Boga, przez nabytą wszechmiłość, — bądź drogą wyrozumowanej łączności wszechludzkiej. *Jednem źródłem moralności* są zatem, zbliżone do instynktu, *przyzwyczajenia;* dusza skupia się w sobie tak indywidualnie, jak i społecznie. *Drugiem źródłem* jest, spowodowane przez jednostkę, *rozprężenie,* otwarcie drogi ku postępowi. Poza instynktem i przyzwyczajeniem na wolę naszą wpływa jeszcze *uczuciowość.* Bodziec, wywołany uczuciem jest przytem zbliżony do obowiązku. Uczucie, — w swej twórczej formie najwyższe wzruszenie, — wyprzedza niekiedy wyobraźnię, łączy się z nią, powoduje i nagli do czynu, podporządkowując sobie analityczne władze rozumu. Moralność niższego stopnia, konserwatywno-utylitarna, wyraża się ostatecznie w nacisku społeczeństwa na osobnika. Moralność twórcza, będąca wynikiem wzruszenia, jest wywołana dążeniem ku wyjściu z ram moralności pierwszej. Pierwsza daje drugiej swoją bezwzględność żądań, a druga rozszerza widnokrąg pierwszej: natchniony entuzjazm rostapia w swym żarze przyjemność dosytu. Jest to wyzwolenie, które każe uczuciem obejmować całą naturę. Za natchnionym twórcą idą jednostki; wznieca on pożar serc, odczuwając łączność mistyczną z istotą życia. Idąc od solidarności społecznej do braterstwa wszechludzkiego, podążamy szlakiem ewolucji twórczej. Ludzie skupieni w życiu gromadnem i obdarzeni inteligencją wytwarzają nakazy moralne, przyzwyczajenia, ucisk społeczny jednostki.

Ze swej strony — wybitne jednostki, które same sobą stanowią gatunek, rozluźniają więzy moralności zamkniętej, prowadzą na szersze drogi, wzru-

*) Henri Bergson. Les deux sources de la morale et de la religion. — Paris 1932.

szeniem twórczem wywołują dążenia, rozsadzające dotychczasowe formy. Cały ten proces jest *biologiczny*, pokrewny instynktowi, gdyż intelekt służy jedynie dla analizy doświadczeń i budowy narzędzi, w celu *udogodnienia życia*.

Przystępując do problematu religji, Bergson zastanawia się skąd taki stek przesądów, jaki zawierają wierzenia religijne, mógł opanować człowieka, którego cechą jest krytycyzm? Tłomaczy on to samoobroną społeczną przed rozkładowem działaniem inteligencji. Równocześnie z krytyką, mogącą działać przeciwspołecznie, zjawia się *gra wyobraźni*, której obrazy nawet fikcyjne, i na mylnych oparte przesłankach, podtrzymują wspólnotę społeczną. Ta gra wyobraźni, zrodzona z właściwości sądzenia, wytwarza przesądy i religijne fakty. Inteligencja i instynkt, dwie końcowe stacje ewolucyjne, przenikają się wzajemnie początkowo, zanim pójdą swojemi drogami, wskazanemi przez *poryw życiowy*, tajemną siłę, pchającą gatunek naprzód. „Porządek" i „Postęp" oto dwa pojęcia życia społecznego.

U owadów mamy pierwszy; u ludzi — drugi. Wśród ludzkości spotykamy niezmiernie cenne wolne jednostki, które mogą stać się wszakże groźnemi dla ustalonego ładu; dla złagodzenia pędu tych jednostek intelekt posługuje się grą wyobraźni, która wytwarza sztuczne obrazy religijne. Religja ustalona jest zatem hamulcem przeciw wybujałej inteligencji.

Zwierzę nieświadomie działa tak, jakgdyby wszystko istniało dla niego. Człowiek dochodzi do tego dopiero zmuszony koniecznością życiową. Aby przetrwać, człowiek musi szukać oparcia, grozić lub błagać te napozór wyższe istoty, lub też zjawiska, za któremi widzi duchy, *czynne* w rzeczach. Wola, czyn rozwija magję przed teorją o bogach. *To stanowi pierwsze zewnętrzne źródło religji.*

Z niebezpieczeństwa, chwilowej negacji życia, inteligencję wydobywa gra wyobraźni, utrzymująca człowieka w ramach społecznych. Bogowie antyczni z ich legendami są postępem cywilizacyjnym w stosunku do prymitywnej religji, są wykwitem gry wyobraźni, będącej na usługach intuicji życiowej.

Gra wyobraźni jest równoznaczna u człowieka z instynktem w społecznościach zwierzęcych. Ale cały dalszy rozwój religji antycznej, od totemicznych praźródeł do przepięknych bogów Hellady, jest mniej ważny, niż zasadnicza przeciwstawność religji pierwotnej, niezbędnej dla utrzymania gatunku, a więc infra-intelektualnej z religją dynamiczną, supra-intelektualną.

Ta druga obejmuje sobą i nieraz przejmuje pierwiastki religji pierwotnej w jej wysubtelnionych wzorach, wyrywając jednocześnie człowieka z ciasnego kręgu zainteresowań utylitarno-społecznych, by go zwrócić od świata do siebie i tą drogą włączyć do prądu ewolucji twórczej. Wokół inteligencji pozostała resztka instynktu, która prze do czynu i ostatecznie wyraża się w mistycznej miłości czegoś wyższego, co ją przenika. Stan taki jest *drugiem źródłem religji*, istotą swą różnej od poprzedniej; — łączą je jedynie formy przejściowe. Mistycyzm rozsadza religję zamkniętą, stanowiąc główny akord nowej, otwartej religji. W Grecji nie doszedł on do pełnego rozwoju; przeszkodził temu Sokratesowski racjonalizm. Dopiero u Plotyna mamy uświadomione poczucie mistyczne.

Ale zadawalnia on się rolą kontemplacyjną. Mistycyzm wschodni, buddyjski, jakkolwiek owiany wszechmiłością, paraliżuje parcie życia naprzód, gdyż zasadniczo je neguje. Do czynnego mistycyzmu religja doszła dopiero, — po przez bojowy, ale jeszcze partykularny, temperament i głód sprawiedliwości u proroków Izraela, — w chrześcijaństwie. Chrystus, a zanim wielcy mistycy chrześcijańscy, objęli swą wszechogarniającą czynną miłością całą ludzkość. Dochodzimy wreszcie do otwartej religji, której istotą jest płodna miłość, a wyrazem, mistycyzm, będący częściowem zlaniem się z intuicją twórczą, pochodzącą od Boga, będącą może Bogiem.

Zrodzony nieraz wśród silnych wstrząsów całej kompleksji psychicznej ekstatyczny mistycyzm przedłuża poryw życia poza gatunek, jest skokiem o nieogarniętych możliwościach biologicznych w powstawaniu nowego gatunku. Utylitarno - społeczna religja zamknięta jest w stosunku do mistycyzmu tem, czem wulgaryzacja wiedzy w stosunku do nauki. Mistycy tworzą nowe wartości, odnajdują Boga, będącego energją bez granic, potęgą tworzenia i miłości ponad wszelką wyobraźnię...

W ostatnim rozdziale Bergson harmonizuje mechanikę z mistyką: wiek XX-y z duchowem pięknem średniowiecza. Ludzkość w swem trwaniu posuwa się drogą spiralną, obejmując na każdym zakręcie coraz to szersze horyzonty. Jednostki wybitne włączają coraz to nowe dobra w krąg zamkniętej moralności i religji, które przerywają i które znów nad nową zdobyczą się zasklepiają. *W braterstwie* demokratycznem, godzącem zwaśnione siostry *wolności i równości*, widzi Bergson ideał ku któremu zmierza ludzkość. Natura obdarzyła ludzi inteligencją wynalazczą, zaczem idzie wyzwolenie jej od materji. Wprawdzie przerost ludzkości grozi jej eksterminacyjnemi wojnami, ale mechanizm XX-go wieku niezmiernie rozwinął przemysłową prężność i, tą drogą, stworzył jak gdyby *wewnętrzną emigrację*, eksportując pracę w wyrobach. Mistycyzm wzywa mechanizm. Niezauważono tego, bo mechanizm został skierowany na fałszywą dorgę zaspakajania luksusu niewielkiej liczby zamiast wyzwalania wszystkich. Musimy dopasować nasze małe dusze do wielkich możności mechanicznych. I gdy dusza zwiększy się do potęgi ciała, wówczas mechanika wezwie mistycyzm.

Nie sposób ująć w krótkim artykule bogactwa myśli i obrazów starego, a jakże młodzieńczego, filozofa. To też kończę wezwaniem i radą: — książkę należy przeczytać. Każda zawarta w niej myśl jest domyślana *do końca* i z maestrją oczyszczona od naleciałości wieków, przesądów, idei z góry powziętych itp. Można się nie zgadzać z podstawą teoretyczną, ale nie można nie podziwiać artyzmu dzieła, subtelności analizy oraz bogactwa oryginalnych myśli, łączących w sobie zarówno posmak wieczności, jak i nutę najaktualniejszych zainteresowań.

Kazimierz Grosman

„Epoka" wyrzeka się jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Bardzo znamienna i pouczająca jest ewolucja nastrojów na świecie w stosunku do Niemiec. To, co w oczach krótkowzrocznych polityków miało zapewnić Rzeszy walor i znaczenie, dodać siły, a mianowicie, zastąpienie parlamentaryzmu rządem prezydenckim, o wybitnie zachowawczem podłożu, to powoli, stopniowo, ale wyraznie deprecjonuje państwo Niemieckie na świecie, zarówno na zachodzie w oczach wielkich demokracyj angielskiej i francuskiej, jak i na wschodzie — w Rosji Sowieckiej.

Zdawało się pozornie, że, gdy u władzy stanął pełny animuszu rząd junkrów, rząd, który nie dopuścił do władzy nawet rozjuszonych hitlerowców, a jednocześnie wsparty o bagnety Reichswehry wysuwa maksymalistyczne żądania nacjonalistyczne, niczem nie różniące się od hitlerowskich, że taki rząd odniesie na terenie międzynarodowym sukcesy. Trzeba dodać, że nawet w Londynie, nie mówiąc już o Paryżu, obiecywano sobie dość dużo z tej zmiany: nareszcie przychodzi w Niemczech silny rząd, z którym można będzie się dogadać. Minęło parę zaledwie miesięcy i z legendy tej nic nie pozostało.

„Manchester Guardian", który gotów był dla zrealizowania ideałów pacyfizmu, pogodzić się z silnie rządzonemi reakcyjnemi Niemcami, dzień w dzień wytyka rządom von Papena, że prowadzą do burzy. W prasie francuskiej od „Le Populaire", do „Jurnal des Debats" niema oczywiście też pod tym względem żadnych różnic.

Podczas gdy przy rządach koalicji wejmarskiej Europa Zachodnia chętnie zatykała uszy na wieści o rozprzężeniu w Niemczech, nie dając im wiary, ufając w solidność Rzeszy, obecnie każda pogłoska o niesolidności stosunków w Niemczech znajduje łatwy posłuch i urasta do rozmiarów aktualnej sensacji.

Dość przypomnieć niedawne rewelacje „Vorwärtsu" o pomysłach b. Kronprinza, który ponoć zamierza stać się regentem Prus, ofiarowując koronę naddunajską (nie wiadomo, czy ze stolicą w Monachjum, czy nawet w Wiedniu) koledze po skasowanym tytule, byłemu następcy tronu Wittelsbachów, ks. Ruprechtowi.

Nie wydaje się wiarogodnem, aby naród niemiecki pozwolił wykonać na sobie taki szalony eksperyment, a jednak... w Londynie wieści o tych projektach półgłówka Hohenzollernowskiego traktowane są b. poważnie. Dzieje się tak dlatego, że zostały rozstrząśnięte zasadnicze podstawy ustroju prawnego w Niemczech i przyszedł rząd, który chce zawrócić koło historji, a butę uważa za oznakę prestiżu państwa, budząc do siebie nieufność ze wszystkich stron.

Wierny sojusznik z wyrachowania, bo nie z sentymentu, Rosja sowiecka, daje po raz pierwszy wyraz swojej nieufności do rządu Rzeszy Niemieckiej. Dowodem tego był artykuł Karola Radka w „Izwiestjach", o polityce niemieckiej na terenie międzynarodowym. Z artykułu tego dowiedzieliśmy się, że sojusznik nie był uprzedzony o słynnem memorandum w sprawie „Gleichberechtigung" i o wynikającem zeń wycofaniu się Niemiec z konferencji rozbrojeniowej. „Gdyby się nas zapytali — pisał Radek — nigdybyśmy im tego nie poradzili".

Ale pogromca marksizmu i parlamentaryzmu, von Papen, tego wszystkiego nie widzi. Wielka ofensywa na ternie międzynarodowym zawiodła; memorandum o równouprawnieniu zbrojeń tuła się po kancelarjach dyplomatycznych, a sygnatarjusze traktatu wersalskiego patrzą na ręce p. Papenowi, aby dostrzec, kiedy zacznie ustawiać tron Hohenzollernów. Animusz rządu berlińskiego przerzuca się na teren wewnętrzny, a zmiana konstytucji, obcięcie praw wyborczych wprowadzenie izby wyższej, ograniczenie praw krajów związkowych, oto cele nowego ataku władców Berlina.

A gdyby spojrzeli dokoła siebie, gdyby mogli objektywnie oceniać sytuację, musieliby wraz z publicystą „Vossische Zeitung" (Nr. 495 z d. 15.10) stwierdzić, co następuje:

„Dzień powszedni jest wrogiem bohaterów; gdy raz zblaknie aureola, którą otacza ich nowy mit, staje się i dla wiernych widoczną ich prawdziwa postać przeciętnych ludzi. Dla osoby która nie obiecuje nic ponadto, czego się można spodziewać od uczciwego człowieka, takie odsłonięcie jest łatwe do zniesienia; dla ludzi, który uważają się za stworzonych na miarę cudotwórców, jest to zdemaskowanie.

**
*

Tydzień ubiegły przyniósł jak zwykle sprzeczne wieści z Rosji sowieckiej. Drogą na Rygę poinformowano prasę całego świata w niesłychanych wypadkach ludożerstwa po wsiach na Ukrainie sowieckiej. Jeżeli w okropności, jaką jest ludożerstwo, może być jakieś stopniowanie, to cytowane wypadki są najokropniejsze: zjadanie nieletnich dzieci przez zgłodniałych rodziców. Ludożerstwo z głodu nie jest na niezmierzonych przestrzeniach Rosji nowością, notowano takie wydarzenia w okresie wielkiego głodu w 1921 i 1922 r. Czy informacje ryskie są prawdziwe, czy też są to sensacyjnie rozdmuchane poszczególne wypadki zbrodni, orzec trudno. Raczej należy przypuszczać, że jest to sensacja ad usum żądnych jej gazet amerykańskich. Tembardziej, że w jednym z podanych wypadków sąsiedzi wywarli pono sąd lyncha nad ludożerczynią, a w innym mówi się o popełnieniu tej ohydnej zbrodni przez warjata.

Jakkolwiek jest, nie ulega wątpliwości, że pewna część ludności Rosji cierpi wielki głód. Ale na tem jedynie opierać wnioski o znaczeniu przemian rosyjskich byłoby błędem.

Jednocześnie korespondent „Vossische Zeitung" p. Lewinson pisze o charakterystycznych zmianach w życiu ludności miejskiej, a powiedzmy dokładnie, Moskwy. Stwierdza on, że wraca tam troska o zewnętrzny polor życia, wraca muzyka i taniec. Kobiety poczynają się ubierać, mężczyźni zaczynają nosić inne ubranie do roboty, inne na ulicę. „Tołstowka", pisze dziennikarz niemiecki — powoli znika, ustępując miejsca marynarce. Już nie jest obowiązkiem chodzić do opery w rubaszce i w wysokich a zabłoconych butach, aby dowieść swej prawomyślności proletarjackiej. Wolno być dobrym członkiem partji w wyglansowanych trzewikach. Na drugi kostjum jeszcze trudno sobie pozwolić ale zaczynają się lepiej ubierać, gdy wychodzą z domu. W rezultacie, według smaku europejskiego Moskwa sprawia wrażenie biednego przedmieścia mieszczańskiego, ale jednak lepsze, niż przed tem.

**
*

Kraj, który przeszedł zwycięską rewolucję i zatrzymał się na demokratycznej formie rządów, — Hiszpanja — czyni prawdziwe i niewątpliwe postępy w swoim rozwoju.

I tu znowu czytelnik polski zbyt obficie jest karmiony informacjami o różnych krwawych zajściach na tle wielkiego przewrotu, dokonanego w tym kraju, za mało natomiast wie o pozytywnej pracy dokonanej przez nowe czynniki władzy.

I z wyrachowania politycznego i przez sympatje ideowe największy oddźwięk znajduje też praca na łamach prasy francuskiej.

Autonomja Katalonji, wprowadzanie w życie reformy rolnej, stopniowe oddzielanie kościoła od państwa — oto czem żyje nowa Hiszpanja, wkładając do dzieła budowy demokracji świata cegły o wartości nieprzemijającej.

St. Gr.

LATAJĄCY HOLENDER

FRAGMENT POWIEŚCI

II.

Tem ostatniem zdaniem porwał Andrzej Warczak Wańgołowi z przed nosa całe mnóstwo smakowitych zapytań. Chciałoby się przecież wiedzieć coś nie coś w sprawie Bociana - Autobusa, chociażby tylko, na ile miejsc on będzie i czy dniem, czy nocą ma kursować. Najbardziej męczyła Wańgoła i pociągała jednocześnie sama liczba przyszłych autobusów na nowej linji — Warszawa — Lwów — Warszawa, — niepodobna bowiem, by na takim ogromnym szmacie przestrzeni kursować miał tylko jeden Bocian. Ależ zamało! Stanowczo zamało!

Te i tym podobne refleksje, których wyliczać nie sposób, sypały się gęsto z Mikołajowych myśli, gdy do lewej kieszeni od kurty kładł swój pierwszy chudy zarobek z nowej posady wydojony. Zupełna pustka w tej kieszeni zdumiała go niepomiernie, — jeszcze przed chwilą byłby przysiągł, jak nic, że ma tam klucz od mieszkania. Ale nie, ani w prawej kieszeni, ani w żadnej innej niema klucza i niema...

Maszci los! przez nieuwagę wzięła Hela klucze i już nieda rady, tylko taksówkę trzeba będzie brać, by przed południem przydybać jeszcze Helę na Słonecznym Placu u tej pani, co to... no przecież wiem, przecież wiem... Od tej pani idzie Hela, — otóż to właśnie, że niewiadomo dokąd!... Ma jeszcze trzy posługi na mieście, ale która gdzie, — nie przypomnisz sobie, chociażbyś skisł!

Warczak jeszcze tam o czemś rozprawia, garbem do ściany przylepiony, ale Mikołaj o niczem słuchać już nie chce. Do domu strasznie mu pilno, — powiedzieć Heli o „Bocianie", odebrać od Heli klucze, bo inaczej — to do samego wieczora jak pies pode drzwiami czekać przyjdzie, zanim Hela nie wróci z ostatniej posługi. Żegna się tedy Wańgoł z inżynierem, byle jak i spiesznie, o nic już się nie pyta, nic nie odpowiada, jeno myśli, byle prędzej za próg. Potem jazda ze schodów, jeszcze dudnią schody, a Mikołaj na ulicy już. Het, gdzie! daleko!

Na chodnikach i na domach, ani cienia strachu. Samo słońce. Leje się z nieba i poprzez oczy, jak przez okna radośnie otwarte, wskakuje jednocześnie i w głowę i w pierś. Jednem popatrzeniem łyknął sobie Wańgoł słońca pół butelki, a teraz oczy mruży i za taksówką się rozgląda. Jest! Stoi na czterech kołach pośrodku placu i przeciąga się wesoło w powietrzu rozedrganem. Czeka. Przewraca chytrze ślepiami wszystkich szyb i gościa sobie na placu wypatruje. Od tych spojrzeń przymilnych a płochych wylewają się na bruk i na chodnik kałuże światła jaśniejszego, niż słońce. Odblask szyb. Najpierw jedną, potem drugą nogą wstępuje Wańgoł na te złote plamy, niezgrabnie po nich depcze i do taksówki się zbliża. Do szoferskich drzwi. Jak zwykle.

Znajomy. Pewnie, że znajomy. Wszystkich szoferów Wańgoł zna i wszyscy szoferzy jego. Nazwiska jakoś w tej chwili nie pamięta, ale gęba zato swoja. Zaleciało Wańgoła od tej gęby wspomnieniem wódki wypitej kiedyś razem. Dawno. Będzie może z pół roku...

— Jakże się macie, Holender, cóż was tak wcale nie widać? Stoicie teraz za mną?

— Gdzie tam! Ani stoję ani jeżdżę. Kryzys. Wogóle...

— Prawda, prawda! jeszcze w zeszłym miesiącu Maniek mi mówił, że wasz stary interes zamyka.

— Pies go trącał! Mam zmartwienie! Jak nie to— to to...

— No, tak, forsę jeszcze bierzecie, więc dlatego...

— Gdzie tam! ani grosza nie biorę!

— Nie płacą wam?... Przez pierwsze miesiące przecież powinni...

— Płacić płacą, tylko, że nie mnie. Sprzedałem forsę.

— Sprzedaliście forsę? Komu?

— Ot, będzie już drugi miesiąc. Na wyścigach. Pysior, wiecie, taki zezowaty Pysior, powiada mi: — Forsy nie masz? przegrałeś?... Czekaj, powiada, nie rozpaczaj, — odegrasz się, bo ci pożyczę. Więc pożyczał i pożyczał, aż pożyczył wszystko.

— Jakto wszystko?

— Ano tak. Wystawaj jeszcze teraz z bezrobotnymi po pół dnia w ogonku i oddawaj wszystko na dług!...

— Oj, frajer! Wszystko dawać!... A pięć złociszów miesięcznie — to nie łaska? Pocóż zaraz wszystko? Bezrobotni przecież jesteście.

— Co mi tam! Ma mi się Pysior po mieszkaniu kręcić, nachodzić i wypominać?... Wolę tak!

Słowo w słowo, gadu — gadu, tak i pogadali ze sobą jeszcze dziesięć minut. Spojrzał Wańgoł na zegar w taksówce i zobaczył, że dopiero dziesiąta, podjechali więc pod bar na Grójecką i wstąpili na jednego, by oblać przecież nową Holendra posadę. Franuś, szofer znajomy, jakoś inaczej umiał pić wódkę niż wszyscy, a mianowicie po każdym kieliszku tupał, jak cholera obiema nogami i rękami kurz z powietrza strzepywał. Kieliszków było cztery na każdego, Mikołaj bowiem zachwycony Franusiową modą tyle właśnie razy kazał mu powtarzać, zanim się już dowoli nie napatrzył i nie nacieszył do cna. Wrócili potem do taksówki czekającej przed barem i ledwo ci ją Wańgoł zoczył, tak zaraz powiada: — Czekaj, Franuś, ja po papierosy tylko jeszcze skoczę, a później pojeździmy sobie, dobra? — — Franuś wysoko, aż na dachy domów gały wystawił i obliczać począł w międzyczasie, za wiele to mu wypada przewieść kolegę darmo. Podjadł sobie przecież w barze nienajgorzej, cztery wódki wypił, więc należy się teraz podwieść brata — szofera, jeśli już nie do samego domu, to do Mickiewicza przynajmniej. Głupstwo zresztą! do samego domu także można, chorągiewki bowiem przecież nie opuści i licznik ani złotówki nie wybije. Na rachunek starego. No, bo co?... Mam zmartwienie!...

Ale Van Gock miał zmartwienie i nie chciał. Chorągiewkę opuścił i powiada: — Innym razem mi się, Franuś, odwzajemnisz. Teraz czekaj, masz tu papierosa, siadaj sobie na tylnem siedzeniu i rób gościa,— tylko rób z fasonem!...

Rad tedy — nierad władował się Franuś na skórzane poduszki, a Mikołaj drzwi szoferskie naścieżaj otworzył, ale nie wsiadł, jeno stanął opodal i zagwizdał z cicha. Pasjami lubił odjazdy. Miłował.

***

Jeszcze jako dzieciak, jako kiełbik maleńki, dniem i nocą, kiedy z wczesną wiosną na roboty Ho-

lendrzy jechali, lub wracali z jesienią, co za rozkosz!.. dniem i nocą przy koniach!...

Niebo aż dudni od chmur spiesznie podróżujących, a pod chmurami skacze droga samotna śród pól, — czujesz jak się las przejechany za tobą zamyka, jak cię obejmuje i mija szeroki, rytmiczny wiatr... Wóz stęka, nad końskim łbem zielona, jak wieniec duha się kołysze, a ty jedziesz, ty także jedziesz...

Przejechałeś z pół tysiąca, albo i więcej wiorst, — zakrętów, lasów, dolin zostawiłeś za sobą coniemiara, — a oto wóz przystaje i przestajesz być. Holendrzy, pół Holendrzy i białoruscy krewni zdejmują z wozów deski, na wilgotnej ziemi rozkładają i wznoszą ponad niemi szałasy i namioty. Długi ciąg dni. Widzisz jak ojciec, bracia, krewni i koledzy całemi dniami w mokrej glinie się babrzą, w zimnej wodzie wystają godzinami, walcząc ciężko i z wodą i z gruntem. Widzisz jak z dnia na dzień pęcznieją kolejowe nasypy, albo jak piędź po piędzi rosną filary mostu. Słyszysz jak inżyniery się cieszą, klepiąc głośno holenderskie plecy i wykrzykując z uciechy, iż drugich takich robotników ziemnych — to niema. Niema na całym świecie!

Widzisz i słyszysz, — masz stąd w szufladach wspomnienia wszystkie rozmowy, wszystkie krajobrazy i twarze. Jednego przecież nic, ale to nic nie pamiętasz, a mianowicie, co z tobą się działo, gdzieżeś był i coś robił ty sam, ty właśnie... Nie wiesz tego, — nie wiesz gdzieś spędzał noce i czem za dnia były zajęte twe nogi i ręce, — nie wiesz ileś pracy wykonał przez miesiące letnie, ani wiele pieniędzy dostałeś za tę pracę. Nie wiesz nawet, iż z chwilą gdy już na amen zatrzymał się podróżny wóz, — tyś począł tęsknić do nowego odjazdu.

Wyłaniasz się z niebytu, samemu sobie ukazujesz się dopiero wtedy, gdy jedne wozy, deska po desce zdejmują Holendrzy z ziemi, a z drugich wozów oskrobują Białorusy gliniasty grunt wożony przez całe lato. Już zładowane fury. Już zaprzężone konie. Już wszystko gotowe do odjazdu...

W tym jednym geście, gdy na kozioł się wspinasz, *dla ciebie* poczyna świecić słońce. Czujesz znów siebie samego, słyszysz swój własny głos, jak na konie woła skroś powietrze. W jednej ręce lejce, w drugiej ręce bat. Jazda! Znów jedziesz. Znów jesteś.

***

Zakręcił Wańgoł korbą pod samym brzuchem taksówki, a potem śpiesznie przez drzwi do środka skoczył, — zgrabnie na pedałach obie nogi ułożył sprawnie popracował rękami i już. Maszyna drży. Motor chwycił. Z nogami w cieple rosnącem aż do bioder raz wraz z maszyną Mikołaj się trzęsie. Do kości. Zda się, że każdy ciała ułamek lata oddzielnie, — jeden prędzej, drugi wolniej, jeden w bok, a inny w tył. Po plecach od bioder drżenie się podnosi, karku się chwyta, po ramionach skacze i wlewa się poprzez palce w drżenie kierownicy. Dygoce. Zupełnie jak sam strach.

Umiejętnie, ostrożnie, obiema rękami z tego strachu Mikołaj wyjeżdża. Naprzód stępa, musi bowiem zaraz na samym wstępie wyminąć szeroki wóz i to tak, by jednocześnie nie zderzyć się z tramwajem dzwoniącym z drugiej strony. Przeciska się tedy przez chwilę, za tramwaj się potem chowa, by wreszcie pod łbami koni wyjechać na wolną przestrzeń. Jazda! Tylko w miejscu drży człowiek ze strachu, — gdy przed siebie drży, to już nie strach, lecz samo

życie w nim się trzęsie. Hop! hop! kamienista, a sękata jezdnia na Grójeckiej podbija i upuszcza taksówkę raz poraz. Ale głupstwo, — zaraz będą Aleje, — za zakrętem, Jerozolimskie, — o już!...

Odbił się o ten zakręt i wyskoczył z za roga. Chlust! Polał się po równej drodze, niby woda z kubła wytrzęsiona. Zaraz potem opadł z powrotem na skórzane poduszki i już tylko spojrzeniem zjadać począł przed sobą smugi jezdni niebieskie od cieni spadających aż ze szczytu domów, to znów złote od słońca w ulicznych przecznicach. Same koła go niosą, coraz prędzej i prędzej, a równo jak po drucie i tak spiesznie, jakby za plecami pchał taksówkę zdyszany, chociaż mocny wiatr.

Gdzieś na Nowym Świecie nie chciał za nic policjant przepuścić taksówki w Nowy Świat, a potem w Krakowskie - Przedmieście. Ręką wyciągniętą na Aleje pokazał i na Trzeci Most. Przed siebie. Dalej przed siebie. Miałże czekać Mikołaj, aż policjantowi prawica się zmęczy, aż się namyśli i aż wkońcu zechce?... Gdzie tam!... Prędzej będzie po obydwu mostach Pragę objechać i właśnie jak raz na czas się zdąży...

We środku taksówki Franuś się zatrzepotał i pukać począł palcami w środkową szybę, — zupełnie jakby w czoło Wańgoła: — Dokąd jedziesz? dokąd jedziesz, warjacie?... Dobrze Franuś wiedział, że przez Zakroczymską Holender się spieszy, w stronę Żoliborza, — to też niepokój go zdjął, że coś może z Wańgołem nie w porządku. Bo i pewnie! Pcha się na Pragę i djabli wiedzą poco! Wywiezie jeszcze taksówkę w szczere pole, za licznik nie zapłaci i pójdzie. Żeby jeszcze tak, to frajer zmartwienie, ale przecież znacznie może być gorzej. Mianowicie jak, tego sobie Franuś nie zdążył jeszcze dokładnie wyobrazić, — tembardziej jednak bał się i podejrzewał. — Cóż chcecie, — z takim bezrobotnym to nigdy nie wiadomo, jakie mu myśli — szacherki po łbie się kręcą. Może na kieszeń się łakomi, zarobek z kieszeni gdzie na szosie wymusi, a potem jeszcze...—Czekaj, warjacie! dokąd jedziesz? Stój!...

(D. n.) *Jerzy Kornacki*

LISTY DO «EPOKI»

Szanowny Panie Redaktorze!

Śledząc od pierwszego numeru rozwój tygodnika „Epoka", nie mogę oprzeć się myśli, że jeśli tak dalej pójdzie — to mieć będziemy w Polsce pismo naprawdę dobre, którego brak dotkliwy odczuwał zapewne legjon czytelników. Przesyłając z odległych kresów słowa uznania dla dobroczynnej pracy Sz. Pana Redaktora, pragnę jednocześnie wypowiedzieć jedną uwagę, jedną troskę, która od dłuższego czasu nurtuje we mnie, — pytanie, na które pragnąłbym odpowiedzi właśnie ze strony Sz. Pana Redaktora.

Przeszedłem właściwie już dawno ten okres życia, kiedy to w człowieku urabia się charakter, jestem już starym człowiekiem, — tem dziwniejsze zatem, iż odczuwam dotkliwą potrzebę „wzoru", według którego mógłbym pewne myśli odrzucać, a inne pielęgnować i rozwijać dalej w dwojgu mych małych wnuczków, których rodzice dokładają wszystkich wysiłków, by wychować chłopaków „na wilków", jak się wyrażają, na ludzi mocnych, brutalnych, pięścistych. Panie Święty! — toć i ja nie chciałbym widzieć chłopców niedołęgami życiowemi!... Kiedy jednak patrzę, jak się rozprawia dzieciom o życiu jak o wojnie, jak się dzień po dniu sprawdza ich muskuły i gada raz poraz, by „gwizdali" na ludzi, by tylko o swej własnej myśleli korzyści, wówczas czarne myśli mnie nachodzą, bo nie wiem kogo ja mogę przeciwstawić w umysłach mych wnuków ich ideałom, — zaborczości w stosunku do innych, egoizmowi, uporczywości zaciętej. Zresztą w szkole, podobnie jak w domu, uprawia się kult despotycznej ręki i karjerowiczostwa, — mnie zaś trudno znaleźć w historji i w teraźniejszości ludzi innych, — moralnie rozbrojonych, a wielkodusznych i wolnych od zawiści narodowo-rasowych, klasowych, czy partyjnych.

Z mych, jakże dawnych! czasów szkolnych, czasów łaciny i greki, pamiętam jeszcze kilka mężów starożytności, których niektórym wskazówkom zawdzięczam wiele jasnych chwil mego życia, kiedy to zachwycony trafnością i głębią ich poglądu na rzeczy, sam stosowałem ich rady wielkoduszne. Mówić jednak o Sokratesie czy Senece nie mogę gdyż w domu mych wnuków i dzieci kwitnie kult modernizmu i niechęć zarówno do starych mebli, jak ludzi.

Przyznam się Panu, Panie Redaktorze, iż sam nierzadko do Chrystusa odprawiam nabożeństwa myśli i uczynków, — jednak o Chrystusie mówić mi jeszcze trudniej, bo nadzwyczaj łatwo popaść w utożsamienie tego genjalnego człowieka z jego nie — podobieństwem, jakie oglądamy co dnia na chorągwiach klerykalizmu i ciemnoty.

Rozpisałem się, a przecież mogłem w paru słowach powiedzieć Sz. Panu o co mnie chodzi, — otóż o łaskawe podanie paru nazwisk ludzi wybitnych, chociaż nie nadzwyczajnych, nie świętych, lecz zwykłych sobie ludzi znanych w historji ze swego poczucia obywatelstwa świata, z miłości do wszystkich narodów, ze swego moralnego rozbrojenia i równowagi wewnętrznej. Niechże to będą zarazem ludzie życiowo dzielni, — nie asceci, ani niedołęgi, — ale ludzie normalnie trzeźwi, których bym mógł przeciwstawić kultowi żołdactwa, karjerowiczowstwa, skrajnego materjalizmu, jaki się zagnieździł w domu moich dzieci, który jest także moim własnym domem.

Z pomocą takich ludzi, ze spuścizną, których zapoznam się z gorącą radością, zdołam może, przy całej sympatji jaką się cieszę ze strony mych wnuczków, wybić im z głowy wszystkie ich marzenia wpajane przez rodziców o życiu, które jest rzekomo tylko krwawą walką i o supremacji siły fizycznej nad równowagą duchową. Przepraszam najmocniej Sz. Pana Redaktora, iż trudzę go własnemi sprawami, ale mimo podeszłego wieku pracuję zarobkowo i czasu mało mam na szukanie naoślep po encyklopedjach, które zresztą wątpię, czy zechcą dokładnie poinformować mnie w tych sprawach. Kiedy mieć będę kilka nazwisk lub ewentualnie tytułów książek, któreby należało przeczytać w tej materji — będzie to dla mnie znakomitem ułatwieniem, za które zgóry dziękuję najmocniej

z wysokiem poważaniem

Brześć n. Bugiem. *Ludwik M.*

Od Redakcji. Odpowiedź na list powyższy zamieścimy w najbliższym numerze „Epoki".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu K. Z. w Sosnowcu. Niemożna wciąż odkrywać Ameryki. Jeżeli w danej sprawie istnieją już prace specjalistów, trzeba je wprzódy poznać, bo wówczas wiemy, czy należy tylko przypomnieć ich wywody, czy też mamy coś nowego do powiedzenia. A właśnie sprawa poruszona przez Pana ma za sobą obfitą literaturę społeczną, to zaś, co Pan pisze, nie wnosi do tego zagadnienia nic nowego.

Panu M. B. w Dąbrowie Górniczej. Będziemy i o tem pisali. Za życzenia dziękujemy.

Pani Helenie B. w Łodzi. Sprawy oświatowe i pedagogiczne będą zawsze uwzględniane w „Epoce".

Panu L. W. w Krakowie. Niema czasów tak potwornych, kiedyby tu i ówdzie nie działo się coś dodatniego, twórczego. Dużo takich rzeczy dzieje się i w naszych czasach. Trzeba je widzieć i należycie oceniać, bo to chroni nas od jałowego pesymizmu.

Pani Annie L. w Częstochowie. To właśnie powiedział Dostojewski: „Jeżeli gdziekolwiek na świecie cierpi niewinnie jedno dziecko, to niech się cały świat zapadnie".

Panu A. W. w Kaliszu. O sympatje kleru wszelkich wyznań nie będziemy zabiegali.

Panu L. R. we Lwowie. Sześć rękopisów i każdy o innej sprawie! Czy nie nadmierna wielostronność? Czy nie lepiej zająć się jedną dziedziną i porządnie ją przestudjować? Zbytnia łatwość pisania, to rzecz niebezpieczna: grozi powierzchownością sądu.

Od administracji

Sz. Czytelnikom, którzy do dn. 5 listopada b.r. nie wniosą prenumeraty za kwartał bieżący, będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie pisma.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2686 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 5.